

**Jurij Andruchowycz**

**OSTATNIE TERYTORIUM**

JURIJ ANDRUCHOWYCZ (1960) urodził się i mieszka w Iwano--Frankiwsku (Stanisławowie) na Ukrainie. Prozaik, eseista, poeta i tłumacz. Zadebiutował w 1985 roku tomem wierszy Niebo ipłosci. Kolejne książki poetyckie Andruchowycza: Seredmistia (1989) i Ekzotyczni ptacby i rośliny (1991) utrwaliły jego pozycję jako jednego z prekursorów nowego nurtu w poezji ukraińskiej. Trzy swoje powieści opublikował po raz pierwszy na łamach kijowskiego miesięcznika „Suczasnist“: w roku 1992 ukazały się Rekreatiji (drugie wydanie 1997; pol. tytuł: Rekreacje), w roku 1993 Moskowiada. Powist' zachiw (drugie wydanie 1997; pol. tytuł: Moscofiada. Powieść grozy) i w roku 1996 Perwerzija (nowe wydanie 1997). Ostatnio wydał książkę eseistyczną Dezorijentacija na miscewosti. Sproby (Iwano-Frankiwsk, 1999).

W 1987 roku wraz z Wiktorem Neborakiem i Ołeksandrem Irwańcem założył grupę poetycką Bu-Ba-Bu.

W Polsce ukazały się jego dwie powieści: Rekreacje (1994) i Moscofiada. Powieść grozy (2000), a także zbiór esejów Erz-berz-perc (1996) i napisana wspólnie z Andrzejem Stasiukiem Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową (2000, 2001).

Wkrótce ukaże się w naszym wydawnictwie powieść Perwersja w przekładzie Oli Hnatiuk i Renaty Rusnak.

## OKOLICA I NIEOBECNOŚĆ

Okolica była wyspowa, północna, dostać się tam można było tylko przez wodę, mówiąc dokładnie, przez wody Zatoki Fińskiej. Poradzono mi, bym odwiedził to miejsce ze względu na chroniczny w stolicy Finlandii brak intensywnych wrażeń krajobrazowych. Helsinki to niezwykle wygodne, przyjemne, ale - takie odniosłem wrażenie - niezbyt ciekawe miasto. Sytuację mogła uratować tylko morska twierdza.

Twierdza, podobnie jak wszystko w tym kraju, ma dwie nazwy - fińską i szwedzką. Oficjalna wersja głosi, że nie ma w Finlandii szwedzkiej mniejszości, są natomiast szwedzkojęzyczni Finowie. Z szacunku dla nich wszystkie napisy są dwujęzyczne i szwedzki jest, jak powiedział jeden znajomy dowcipniś, „drugim między równymi“. Zresztą, blakając się po miejskich labiryntach dzisiejszej helsińskiej piktografii i toponimii, z czasem nauczyłem się zwracać uwagę wyłącznie na szwedzkie napisy, jakieś nitki korzeni łączyły je wszakże ze światem germańskim, saksońskim, gockim - a fińskich nazw po prostu nie dawało się doczytać do końca. Zupełnie inna rodzina językowa, nieznośnie trudna dla cudzoziemca struktura, szesnaście przypadków i tak dalej.

Tak więc po szwedzku twierdza ta nazywa się Sveaborg, czyli właśnie Szwedzka Twierdza. Fińska nazwa z kolei głosi coś wręcz przeciwnego - Suomenlinna. Tak się przyjęło i tak są one używane, jedna obok drugiej, na wszystkich mapach i planach, we wszystkich przewodnikach - Suomenlinna, Sveaborg.

Była sobota, masa swobodnie ubranych ludzi, mających ochotę na morski spacer z dziećmi, psami, plecakami i rowerami, czarno-żółty tramwaj wodny odpływał z przystani w pobliżu pałacu prezydenckiego, podróż trwała niecałe pół godziny - wzdłuż bulwaru Katajanokanlaituri/Skatuddskajen, obok wyspy Yalkosaari/Blekholmen, przez wiatr na pokładzie, przez niezrozumiałe słowa, przez wszystkie szesnaście przypadków, wypadków i tak dalej.

Być może to właśnie sprawiło, że po przybyciu na wyspę ruszyłem nie ze wszystkimi, ale na prawo - w stronę jakichś czarnych murów, gęsto porośłych zielskiem (połowa czerwca, Północ, na wpół rozgrzane, na wpół zetlałe dmuchawce). Świadczyło to o opuszczeniu i zaniedbaniu, było mi dobrze w samotności, za murami mogła znajdować się wymarzona twierdza. Ale była tam tylko grupa jakichś żółtych budynków koszarowego typu, pustych i cichych, jakieś dawne więzienie na wyspie, koszary czy wojskowa szkoła marynarki, albo wszystko to naraz. Mury miejscami odrapane, fińska flaga na maszcie nad głównym wejściem i ani żywego ducha. Były co prawda ogromne jesiony na środku placu, a na nich cała eskadra wron, które powitały mnie niesamowitym wrzaskiem - jakbym był jakimś admirałem. I tyle.

Do powrotnego promu została prawie godzina. Nie spieszyłem się i powoli przeżywałem tę chwilę: bezludzie, wrony, trawa. Potem - z tym samym skupieniem - obszedłem teren wzdłuż murów. Od czasu do czasu trafiałem nad morze, blade i ciche. Małżeństwo niemłodych Turków jadło obiad, za stół służył im zwykły przybrzeżny kamień. Sfotografowałem mewę na bastionie. Nie było nic więcej do zrobienia.

„Okolica korzysta z człowieka - z jego skupienia, z tego, że przebywa on w optycznej melancholii. Podobnie jak zwierciadlane odbicie, okolica potrzebuje cudzego spojrzenia, by mogła pojawić się i zdradzić swoją obecność“ - tak mówił fergański poeta Szamszas Abdułłajew kilka dni później. Wydało mi się, że go rozumiem. x;

Nagle zrozumiałem także i to, że w końcu nie zobaczyłem twierdzy. Uznałem za twierdzę coś innego i zmarnowałem masę cennego czasu. Przecież trzeba było tam iść razem ze wszystkimi, od razu, wtedy po przyplnięciu. Gwałtownie rzuciłem się na drugi koniec wyspy, mijając kioski z piwem, korty tenisowe, luterański kościół i drewniane domy. Twierdza znajdowała się na sztucznym pagórku, wymyślił ją kiedyś szwedzki król Gustaw IV - mimo woli przychodziła na myśl cała marność tego świata, nieziszczone dążenia Szwecji do stania się bałtyckim imperium, mocarstwem, przypominała się Poł-tawa, Kronsztad, Twierdza Michajłowska w Petersburgu, przypominało się „historia mogła wyglądać inaczej“. Na dziedzińcu twierdzy, jak zawsze, klębili się Japończycy. Nie wiadomo po co sfotografowałem pomnik szwedzkiej floty wojennej. Okolica korzystała ze mnie. Nie miałem nic przeciwko temu.

(przełożyła Katarzyna Kotyńska)

## TU I TYLKO TU

Mieszkam w jednym z takich miast, gdzie zupełnie nieunikniona jest miłość do archeologii, nawet jakieś dziwne od niej uzależnienie. „Archeologia“ jest dla mnie pojęciem dość szerokim - to przede wszystkim możliwość odszukiwania śladów przeszłości, zanurzania się w coraz to głębsze jej warstwy. Wydaje mi się, że na tym świecie istnieje coś takiego, jak szczególna stanisławowska („stanisławowsko-frankiwska“?) gra nawarstwień. Od kilku dziesięcioleci - faktycznie od dzieciństwa - staram się w dostępny sobie sposób reagować na tę grę. W moim arsenale znajdują się zapewne narzędzia nie najdoskonalsze - obserwacja, pamięć, poezja, nocne koszmary. Jako dwudziestolatek starałem się za wszelką cenę porzucić to miasto, chciałem je zamienić na znacznie bardziej wyrazisty, bogatszy i do tej pory faworyzowany przeze mnie Lwów. Na szczęście próba ucieczki była nieudana - pozostałem tam, gdzie, widać, pozostanę już do końca swoich dni - w mieście nieudaczników, pijaków, nie zrealizowanych losów i talentów, mieście nieco prowincjonalnym, jakich na mapie Ukrainy jest co najmniej kilkaset. Ale tak naprawdę tylko jedno.

Tadeusz Rolkę przyjechał w samą porę, by stać się świadkiem wspomnianej gry. Powierzchnowy - w obu znaczeniach - remont budowli, znanej od niepamięt-

nych sowieckich czasów jako Desert-Bar (o, pamiętam, pamiętam te lepkie lody, te wstrętne syropy o aptecznym posmaku!), niespodzianie odsłonił polskość. Spod kory nowszych warstw tynku wyłoniły się inne litery, inna grafika i inne słowa. Na przykład piękne i dziś już chyba nikomu niepotrzebne słowo „tapicerja“. Nie, nie „ta piz-zeria“, a właśnie „tapicerja“ - coś w równej mierze łacińskiego, jak i średniowiecznego. Tadeusz Rolkę przyjechał akurat w samą porę - następnego dnia wszystkie te napisy znowu tymczasowo znikły, aż do nowych kosmetycznych zmian, znikły pod najświeższą warstwą - warstwą czego? Jak się nazywają warstwy w palimpsestach? Bardzo lubię te napisy, wzierające tu i ówdzie ze wszystkich możliwych dziur, szczelin w fundamentach, spod progów, z podświadomości miasta. To mogą być nie tylko fragmenty murów. To czasem zaledwie stare uliczne pompy, pozostałości kratek kanalizacyjnych (poczynając od września, zasypane jesiennymi liśćmi i spadającymi w nie kasztanami - tu cytuję; to nie moje spostrzeżenie, lecz znajomego wędrownego filozofa). To także, na przykład, stare cegły, które zdarzają się wszędzie, nie tylko tam, gdzie zburzono jeszcze jeden dom - a na każdej z nich odczytamy imię pewnego ceglanego magnata, w rodzaju „Serafini“ albo „Rauch“, albo coś podobnego. Polskie cegły czasem jeszcze się przydają w nowych murach, tak jak przydatne w precyzyjnej pracy odważania są pocztowe szalki w okienku przesyłek i paczek na poczcie głównej (fabryka wag w Lublinie, 1928 - jak świadczy napis na miedzianej tabliczce).

Nawet nie zauważyłem, jak się skończyła, minęła, pozostała gdzieś za mną smuga czasu, zamieszkała przez ludzi pamiętających dokładnie, a co ważniejsze - epicko, jak było za Polszczy. Starzy Ukraińcy wymawiali to słowo z akcentem na ostatniej sylabie, by maksymalnie je odda-

lic od właściwego polskiego brzmienia. Ci mimowolni pośrednicy w moich prywatnych wykopaliskach faktycznie już sami odeszli do fizycznego stanu „nawarstwienia“ w zapobiegliwie przygotowanych cmentarnych grobowcach. Mnie zaś (nam?) pozostaje tylko labirynt małomiasteczkowej mitologii i ledwo odczuwalny, jak w strumieniu wody z ulicznej pompy, posmak rdzy.

Tak więc metafizyczno-międzywojenną Polszczy w świadomości społeczeństwa bezpowrotnie zastąpiła całkiem namacalna, powszednia, zwykła Polszczy, kraj, któremu się zazdrości, do którego chciałoby się dostać - na zarobek, na rabunek, na studia, na całe życie, kraj z wyższym niż u nas poziomem dzikiego kapitalizmu, a także, jak przyjęło się uważać, kultury, chociaż - to też powszechny pogląd - niższym poziomem duchowości. (Co należy przez to słowo rozumieć - ilość wyszywanych ręczników w cerkwi? Nie jestem gotów odpowiedzieć). Jednakże nie tu miejsce, by głębiej zastanawiać się nad tymi aberracjami. Wróćmy do mego rodzinnego miasta.

Pewnego razu przyjaciel z Kanady zapytał mnie w mailu, czy mógłbym udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi na pytanie: „Jeśli śnieg pada w Stanisławowie, to jaka pogoda jest w Iwano-Frankiwsku?“. „Przeważnie też pada śnieg, ale niekoniecznie“ - odpisałem mu. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że się nie myliłem. Przecież w istocie to dwa różne miasta. Tak, to dwa sąsiednie miasta, bardzo blisko siebie położone, właściwie to pierwsze znajduje się wewnątrz drugiego, miasto w mieście. Ale w żadnym razie nie można uznać ich za tożsame. Stanisławów był i pozostał w granicach starego miasta - łatwo go rozpoznać po pozostałościach murów obronnych, kolegiacie, katedrze, synagodze, ratuszu,

czysto środkowoeuropejskim rynku, po secesyjnych willach wzdłuż alei Lipowej oraz rozpanoszonych wszędzie eklektycznych i konstruktywistycznych kamienicach - ot, takie zwykle miasteczko dla jakichś 30 tysięcy mieszkańców. Niższe piętra tych domów dziś szaleńczo wykupują drobni przedsiębiorcy, powierzchnie starych murów rozpadają się na kawałki, przeważnie w jaskrawych kolorach (farby z Włoch! Polski! Turcji!), każdy właściciel po sobiepańsku decyduje o architektonicznych rozwiązaniach, zewsząd wyłazi powierzchowna, niczym fińska dachówka z metalu, estetyka „nowoczesnego remontu“ - więc życie nabiera barw, coś mimo wszystko się zmienia, przynajmniej piwo od kilku lat smakuje zdecydowanie lepiej.

Iwano-Frankiwnsk natomiast to cała późniejsza, zabudowa wokół, wszystkie te osiedla, dzielnice przemysłowe, pustkowia, dżungle z wielkiej płyty, komórki rakowe późnosowieckiej urbanistyki, smród i ciemności, wieś w mieście, małoletni przestępcy, alkoholicy, narkomani, całodobowe lokaliki z chamską muzyką, nocna strzelanina pod dyskotekami, ale nie tylko to, musi być także coś takiego, za co nawet ten koniec świata można pokochać, bo inaczej jak bym w tym mieście wytrzymał ostatnie osiem lat?

Tak, w istocie to dwa miasta: wewnętrzne i zewnętrzne, tajne i jawne, zwykłe i magiczne. Bo oto od pewnego czasu (zdaje się, że na początku lat dziewięćdziesiątych, tak brzemienne w skutkach) o Stanisławowie z uporem zaczęto wspominać jako o Miejscu Magicznym. Zaczęło się od tego, że dwóch przyjaciół - obydwaj wywodzący się z alternatywy i undergroundu, obydwaj w sandałach na bosą nogę, obydwaj z niesamowicie jasnym obrazem prawdziwej chwili istnienia - oglądając na świeżo zrobionej odbitce fotograficznej fragment krajobrazu miejskiego, rozmiękłego, rozplaszczonego i jakoś aż zdeflorowano-zdeformowano-zdemoralizowanego przez lipcowy upał, jednogłośnie orzekło: „Ależ to Macondo!“. Tak się narodził „fenomen stanisławowski“, pojęcie, o którym dziś powiedziano tak wiele, a przy tym tak absurdalnych rzeczy, że mimo woli przestajesz w nie wierzyć. W rzeczywistości jednak istnieje, ale to coś niezwykle osobistego, coś takiego jak na przykład poczucie twej własnej przynależności do niezwykłego Miejsca na mapie świata. Jak to uzasadnić za pomocą słów i figur logicznych? Można w nie tylko uwierzyć (koronny argument szarlatanów).

Trzeba było całego dziesięciolecia, by w nie uwierzyli reporterzy. Ale i oni uwierzyli.

Miniony rok upamiętniło pojawienie się w mieście całego oddziału zwiadowców, przeważnie telewizyjnych. Zaczęło się od grupy z lwowskiej telewizji regionalnej, którą interesował „obraz miasta w stanie dekonstrukcji“, po nich byli kijowscy spece z nieco profaniczną ideą „Iwan Franko kontra Franz Joseph“, trochę później pewna początkująca kijowska gwiazda telewizyjna wypytywała mnie pod starymi murami, czego najbardziej w świecie się boję i co mi się jawi w sennych koszmarach, potem byli ludzie z BBC (film o karpackich czarownikach), Berlina (czy możliwa jest turystyka w tej części świata?), w końcu także i Moskwa wysłała swych emisariuszy - by zbadali tzw. środowisko. Wizyta Tadeusza Rolkę z jego nadwrażliwym fotookiem nie była bodaj ostatnia w tym łańcuchu. Niebawem spodziewamy się Japończyków.

Wszystkim tym zbieraczom „stanisławowskiego fenomenu“ pokazywałem to samo: mury obronne, wymalowane przeważnie angielskojęzycznymi graffiti, nigdy nieschnącą bieliznę na balkonach, ratusz, zrekonstruowany rynek, kolegiatę, katedrę i synagogę, secesyjne wille wzdłuż alei Lipowej, uliczne pompy i kratki kanalizacyjne, tabliczki z numerami budynków, tablice pa-

miątkowe, winorośl na murach, drewniane werandy, po raz ostatni malowane jeszcze za Austrii, bar, nieoficjalnie zwany Bombay (pewnie dlatego, że w tym lokalu w 1912 roku Iwan Franko publicznie odczytał swój poemat Mojsej), do obowiązkowego programu należał też bazar, gdzie za każdym razem wywoływaliśmy szalone zamieszanie i skrajne zdenerwowanie przystosowaną do szybkiej pracy szpiegowską aparaturą.

Tak więc pokazywałem bardziej Stanisławów aniżeli Iwano-Frankiów. I za każdym razem z zagadkowego miasta wyłaniało się coś całkiem nieoczekiwanego i nowego nawet dla mnie. Przede wszystkim jednak pokazywałem ludzi - tych, z którymi tu mieszkam, piję alkohol, zabijam lato na piknikach, śpiewam nocą, tych, z którymi czasem rozmawiam o polityce i poezji. Albo i tych, z którymi rozmawiam o pogodzie. Albo i tych, z którymi po prostu się witam.

Niektórzy z nich od razu wpadali w czujne oko przyjezdnym zwiadowcom: perła, diament, monstrum...

Przy okazji z zamyślonymi i nieco ironicznymi minami zdemaskowanych mistyfikatorów demonstrowaliśmy im opracowane już w głębiach „stanisławowskiego fenomenu“ jeszcze wówczas, za pamiętnego przełomu, podstawy (wersje?) naszej „magiczności“.

Po pierwsze, to bliskość gór. Mieszkamy na równinie, ale pierwszego prawdziwie wiosennego, to znaczy zupełnie przejrzystego dnia można dostrzec na południu pasmo Karpat - posługując się metaforą Josepha Rotha, ich „błękitne obiecanki“. To szczególne szczęście - żyć ze świadomością, że w każdej chwili, czy ci dobrze, czy źle, możesz wyruszyć w południowym kierunku i za godzinę znajdziesz się w górach. „I to oznacza, że jesteśmy połączeni z innymi systemami energetycznymi - dodawał któryś z nas, balansując na krawędzi patetycznego niesmaku - jesteśmy twórczo podłączeni do energetyki pobliskich Karpat“.

Po drugie, to wspomniane już przeze mnie nawarstwienie kultur. Tak, jasne - nieco spóźnione na tle ogólnoeuropejskim kulturowanie mitu austro-dunajskiego czy „międzywojennego“, umożliwiające głośne powtórzenie od czasu do czasu słów o zgwałconej tu Europie. Ale czy w tym rzecz? „Dla nas - wyjaśniał ktoś inny, przekraczając granice samokrytycyzmu i zdrowego rozsądku - ważne jest to, że tu zawsze coś skądś wyziera, coś się wyłania - jak nie napis łacinką na murach, to szkielet z dziurą od kuli w potylicznej części czaszki“.

Po trzecie, to wpływy na miasto i wzajemne wpływy nowego środowiska twórczego - gwałtowna miłość i takąż sama, odpowiednio, nienawiść i konkurencja. Znienacka okazało się, że oddychamy tym samym powietrzem, i dlatego coraz bardziej twórczo uzależniamy się od siebie, a każdy piknik za miastem grozi przekształceniem się w bezpardonowe wypróbowanie ambicji i egoizmu. „Okazuje się - wyjaśniał ktoś, balansując na krawędzi z zupełną otwartością - że dawno już staliśmy się autonomiczni, samowystarczalni, wyrosliśmy z tych wszystkich możliwych ugrupowań, prądów, szkół, «fenomenów», w rzeczywistości zaś możemy zaledwie wzajemnie się zasilać“. Chwalić Boga, nasi goście-zwiadowcy byli przeważnie na tyle doświadczeni, że żadnej z tych wersji nie brali sobie do serca. Ale coś utrwalali.

A skoro już doszło do osobistych wynurzeń - nigdy nie miałem i teraz także nie mam pewności co do tego miasta, co do jego magiczności czy fenomenalności. Odrapane mury w zamieszkanym przez podejrzliwych staruchów tajnych podwórzach, dzieci, gotowe w każdej



chwili zatańczyć przed obiektywem w oczekiwaniu na jakąś hrywnę czy dwieście escudo, niesamowita ilość żebraków, prawdziwych i lipnych kalek na chodnikach, ciemnoskórych wrózek i bezdomnych zwierząt - wszystko to naprawdę może przypominać jakiś południowy kraj, ale co z tego?

Ostatnio dziwi mnie co innego, a mianowicie setki tysięcy ludzi, którzy tu mieszkają, chodzą i oddychają, a jednak nawet nie przeczuwają jakiejś tam „magiczno-ści“ - po prostu, jak już powiedziałem, żyją, czysto po ukraińsku uznając to życie za niemożliwe, niegodne, żalosne, narzekając na władzę, na mafię, na milicję, na wszystkie na świecie „ukrainy“ i „rosje“. A zarazem kupują i sprzedają mieszkania, unikają podatków, chodzą gdzieś na pikniki za miasto, śpiewają na urodzinach i weselach pieśni ludowe, dużo jedzą i piją, rozbijają, a potem naprawiają swe stare volkswageny, strzelają w nocy pod dyskotekami^ a także uprawiają ogródki, sadzą fasolę i kwiaty, jeżdżą, na zarobek do Polski i do Czech, kupują ziemię, władzę, mafię, celników, w niedziele wypełniają cerkwie, modlą się, rodzą się i umierają - słowem, jak już mówiłem, żyją.

Tadeusz Rolke prawdę ci powie.

(przełożyła Ola Hnatiuk)

## MAŁA INTYMNA URBANISTYKA

Każda ze współczesnych map świadczy o tym, że Lwów leży na północ i nieco na zachód od miasta, w którym mieszkam, Kijów natomiast wprawdzie również na północ, ale i w znacznej mierze na wschód. Jednym ze skutków 11 wojny światowej stało się jednak to, że dla ludzi podróżujących ze Stanisławowa obydwie miasta znajdują się jakby na jednej linii. Przyczyną tego jest zniszczony (nie wiem już przez kogo, Niemców czy może Rosjan) most kolejowy na Dniestrze. W ten sposób, wbrew geografii, pociąg osobowy nr 203 relacji Iwano-Frankiwnsk-Kijów najpierw zbacza na północny zachód od stacji końcowej. Do Lwowa przyjeżdża po trzech pierwszych godzinach jazdy, wczesnym wieczorem. Prawie wszyscy wychodzą na peron, są jeszcze stosunkowo świeży i mało agresywni. Ci, którzy zaczęli od razu za Stanisławowem, uzupełniają zapasy alkoholu i dokupują żywność w bufetach. Inni także wypełniają tę pauzę czymś pozytywnym - odbierają lub przekazują pakunki, odbywają krótkie spotkania, oddychają niewagonowym powietrzem. Do Kijowa jeszcze prawie dwanaście godzin, da się wytrzymać.

Na tej linii: Stanisławów-Lwów-Kijów kursują regularnie chyba od siedemnastego roku życia. Nie mam wątpliwości, że w jej granicach już kilkakrotnie przemierzyłem kulę ziemską. Dla mnie jednak ta linia przebiega nie tylko w przestrzeni.

Ma ona również wymiar czasowy. Lwów był pierwszym na świecie miastem, do którego pewnego razu wyprawilem się z domu. Był początek lipca, piąta rano, a ja nie mogłem doczekać się na pokrytej poranną rosą trawie pociągu, nie kijowskiego, a z Rachowa. Niedawno jeszcze jechał przez góry, na co wskazywały nie tylko resztki szronu na dachach wagonów, ale i ogromna ilość Cyganów zakarpaccykich we wszystkich bez wyjątku korytarzach przy wejściu.

Obraz świata stanowił doskonałą całość. Niewypowiedziane powolny, stary pociąg z gór, magnetyczna bliskość Środka Europy, Galicja za oknami, czterogodzinne rozhuśtanie tremy w sobie samym, w końcu przyjazd: wszystko, łącznie z tramwajami, brukiem, neogotycką Elżbietą i szeregiem imponująco zaniedbanych kamienic na Gródeckiej, świadczyło o osiągnięciu celu (Europa! kultura! wolność! sza!).

Okazało się, że na długo - na całych pięć lat, a nawet więcej. Stąd też czasem znajduję podstawy, by nazwać swą młodość „lwowską“. Jestem świadom, jaka to odpowiedzialność. Setki tysięcy ludzi przeżywają, swój czas i miejsce, nawet nie zauważając, że to, po pierwsze, młodość, a po drugie, że jest ona lwowska. Przede wszystkim nigdy nie zdołam sensownie wyjaśnić nikomu obcemu, na czym polega jej specyfika, dlaczego jest tak odmienna. Pamięć przywołuje jakieś zarośla, bez, flaszkę jabcoka na Zamkowej Górze, panoramę starych dachów i murów, jak też muzykę, na przykład Jethro Tuli, choć właściwie co ona ma z tym wspólnego?

Wszystko to jest mało przekonujące, cała ta „lwowska młodość“, zgadzam się. Jednakże to przynajmniej coś w porównaniu z tzw. „kijowską młodością“. Bo to po prostu mara, która stała nade mną, śpiącym, przez kilka lat, ni to nęcąc, ni to strasząc; tchnęło od niej alkoholem, a może, jak by się wyraził ktoś z bardziej radykalnych mistrzów słowa - śmiercią duchową.

W związku z tym nie ma sensu zatrzymywać się przy niej dłużej.

Jak to jednak jest z tą lwowską młodością?

Przede wszystkim miała gorzkawy posmak. To uczucie nazywa się rozczarowaniem. To bardzo dobre uczucie, niesamowicie płodne i głęboko twórcze, stwierdzają znani mi autorzy Bildungsroman. Rozczarowanie powstaje na tej niewidzialnej granicy, na której dochodzi do zderzenia tego, co zrodzone w wyobraźni, z tym, co rzeczywiste. A że granica ta jest istotnie niewidzialna, rozczarowanie może niepostrzeżenie przeistoczyć się w zachwyty, i na odwrót.

Wyimaginowany Lwów leżał na malowniczych zielonych wzgórzach i miał całkowicie zachowaną architekturę i układ miasta chyba jeszcze średniowiecznego. Z otwartych okien non stop dolatywała muzyka klawesynowa albo choćby dobry rock symfoniczny, a długowłose dziewczęta w wiankach oczekiwały mnie na skwerze koło fontanny. W tym Lwowie rozmawiano wyłącznie po ukraińsku, co najwyżej starzy wiedźmini i czarownice pozwalali sobie na łacinę czy też grekę. Każdy też znał tam na pamięć wiersze Antonycza, a wędrowni minstrelle co wieczór dawali koncert pod gołym niebem. Pod miastem istniał skomplikowany system przejść i piwnic, w których przechowywano niewyczerpane zapasy wina, złota, materii i starych ksiąg. W ogóle było to miasto nieskończonych tajemnic i tajemnicą pachniały tamtejsze kobiety, rośliny, deszcze. Wiedziałem, że lwowską rzekę ukryto pod ziemią, ale żyły w niej prawdziwe atlantyckie węgorze, ponieważ miasto leżało faktycznie w atlantyckiej strefie świata, a może i na wybrzeżu.

Rzeczywisty Lwów w dziewięćdziesięciu chyba procentach składał się ze strasznych przedmieść i nowej architektury. Skupisko terenów przemysłowych, chaos zakamarków fabrycznych i kolejowych, monotonne budownictwo mieszkaniowe lat siedemdziesiątych i późniejszych, żelbet, wielka płyta, smród i zgrzytanie zębami. Fatalna bezradność władz miejskich w kwestii wody, kanalizacji miejskiej i komunikacji. Jeśli z otwartych okien dolatywała jakaś muzyka, to tylko radzieckiej estrady, a język rosyjski dał się słyszeć na każdym kroku. Ale jeszcze gorsze było to, że ci, którzy posługiwali się językiem ukraińskim, okazywali się niemal bez wyjątku dość ograniczonym i biernym wieśniactwem. Studenci uniwersytetu swoim wyglądem, poziomem i stylem życia przypominali raczej wychowanków zawodówki dla półgłówków. A tzw. inteligencja narodowa prześcigała się w wiernopoddaństwie i serwilizmie, dokonując sublimacji swej ukraińskości w wyszywane koszule i dobrze odżywione facjaty. Wszystko to razem wzięte stanowiło najohydniejszą ze znanych mi odmian Sojuza.

Stąd też nie pozostawało mi nic innego prócz wiary w jakiś inny, istniejący gdzieś tajemny Lwów. Od czasu do czasu to miasto wysyłało do mnie sygnały o swoim istnieniu. Czasem był to cień jakiejś nietutejszej i niedzisiejszej postaci z dalekiej ptasiej krainy w przesiąkniętych zapachem nieczystości podcieniach starego miasta. Innym razem - wieść o kolejnym procesie politycznym, nielegalnej wystawie, operze rockowej Stepan Bandera albo o zgromadzeniu dzieci-kwiatów w Ogrodzie Świętym. Pokaz filmu Tarkowskiego, spacer po Cmentarzu Łyczakowskim, nocna ucieczka w ciemność zбочami Zamkowej Góry - wszystko to mogło zadziałać na korzyść innego Lwowa. W chwilach największych juwenilnych katastrof wystarczyło, żebym się przeszedł nocą po Rynku z odkorkowaną butelką albo i bez.

Najciekawsze, że gdy tylko moja lwowska młodość minęła, trafiłem w końcu w sam środek tego tajemnego Lwowa, w jego gęstą, przesiąkniętą winem, bezsennością, miłością i wilgocią atmosferę. Mogłem się przekonać, że wszystkie moje domysły nie były bezpodstawne... I chociaż kapela Wujki już nie grała, poeta Kałyneć już nie pisał, a inny poeta Czubaj już nie żył, odczułem pewną przynależność do tamtejszego misterium.

W owym czasie zmuszony byłem wrócić już do rodzinnego miasta, rozmazując po wszystkich notesach tę życiową porażkę i przygotowując się do stawienia oporu bezsensownej reszcie życia.

Źle, że prawie nic z tego, co sobie wyobrażałem, nie ziściło się. Dobrze, że wszystko ułożyło się właśnie tak.

Dobrze, że nie mieszkam w Kijowie. Dobrze, że to była tylko mara młodości. Przez to nie znam go. Być może zaledwie domyślałem się czegoś o nim. Ale dla mnie to miasto zaczyna się o pół do siódmej rano, kiedy wysiadam z pociągu i słyszę nie zwiastujące nic dobrego - czuję to przez skórę - nawoływania taksówkarzy: „Mężczyzna, taksy niedarogo!“.

Za specyficzną cechę numer jeden wielu moich znajomych uznaje to, że Kijów nie jest miastem ukraińskim. Chodzi przede wszystkim o sytuację językową, która - według mnie - znajduje się jednak w stanie permanentnego wahadłowego ruchu w obie, ukraińską i rosyjską, strony. Ale nie tylko o to.

Kijów przebywa w strefie jakiś innych, „nieukraińskich“ mentalno-psychologicznych wpływów. Stały napływ Ukraińców z bardziej lub mniej oddalonych miasteczek i wsi nie jest w stanie zmienić Kijowa, na odwrót - to Kijów zmienia tych Ukraińców. Najbardziej odczuwalnym tego przejawem jest całkowita mechaniczność kijowskiego życia miejskiego. W odróżnieniu od wszystkich innych stolic europejskich w Kijowie nie ma „święta, które zawsze jest z tobą“ - mimo formalnego nasycenia życia miasta różnymi festynami ludowymi. Wielkie przemieszczanie się odczłowieczonych potoków ludzi, wzajemna niechęć, alienacja, nastawienie na walkę, agresję, brak improwizacji, radości, ducha zabawy w kontaktach między ludźmi - wszystko to świadczy

O mieszkańcach Kijowa jako o wielkiej, chaotycznej zbieraninie obcych i niepotrzebnych sobie wzajemnie ludzi. Nie, w Kijowie w żaden sposób nie dostrzega się tej nieznośnej lekkości bytu, której tak wiele jest w Paryżu, Pradze, Belgradzie czy nawet w Nowym Jorku. Byt upierdliwy, a żywot parszywy, że pozwolę sobie na niezbyt wyszukany rym. Od czasu do czasu katalizatorem wybuchu głęboko ukrytych emocji ludzkich staje się co najwyżej piłka nożna, ale to czynnik na tyle mało istotny

I zmienny, że realnie niczego nie może zmienić.

Mój przyjaciel poeta Jurko Pozajak mógłby - zdaje się - mi zaprzeczyć. On zna inny Kijów, jakieś zupełnie egzotyczne enklawy, wewnętrzną ukrytą miejskość z jej prawdziwymi rytmemi, kodeksami, samorządnością i językiem, przede wszystkim Bazar Żydowski. Wierzę, ale nie tyle jemu, ile w to, że on musi wierzyć. Inaczej nikt z nas nie wytrzymałby sam na sam z tym - nie, nie z Molochem - z motłochem.

Dla mnie Kijów to wysepki na oceanie, maleńka garstka ludzi, którzy tu mieszkają, rozrzućeni po redakcjach, pracowniach, mieszkaniach, kawiarniach - ci, którzy już od lat albo i dziesięcioleci niezauważalnie dla innych przeciwstawiają się kijowskiemu mechanistycznemu życiu i pozostają żywymi ludźmi. Fantastyczne odległości pokonać może tylko metro. Moje trasy to przemieszczanie się od jednej kryjówki do drugiej, tak więc Kijów w rzeczywistości składa się z około dziesięciu miniaturowych fortec. Wyjście na zewnątrz jest niepożądane i potwornie niebezpieczne, dopuszczalne tylko w celu uzupełnienia zapasów

alkoholu. Wokół błędzą monstra o wykrzywionych twarzach i mamroczą coś pod nosem w swym na pół języku.

Ze wszystkich ról tego świata najbliższa jest mi rola opowiadacza. A to oznacza, że język - właśnie język, a nie pismo, właśnie mowa - bardzo wiele dla mnie znaczy. Nie mniej ważne jest dla mnie słuchanie innych: jak kto mówi na tym świecie i co komu wpiera. W swoich wielogodzinnych wieczornych i nocnych Odysejach po wyszynkach i knajpach gotów jestem wysłuchać wszystkich - wymiętych przez życie pijaczków, przechodzonych sportsmenów i biznesmenów, artystów i artystek, wesołych bandytów, sentymentalnych dziwek, skurwysynów, szui i całego tego ludu, zwanego niekiedy przez pomyłkę narodem. Ja, Patriarcha Bu-Ba-Bu, bez tego nie mogę. To normalne, tak bywa zawsze w Stanisławo-wie czy we Lwowie, w Krakowie, Pradze i Berlinie też tak bywało.

W Kijowie jednak to prawie niemożliwe: moi aniołowie - przyjaciele wyciągają mnie z każdego przypadkowego zbliżenia; za takim kontaktem, owym wyjściem na zewnątrz, czai się niebezpieczeństwo, straszne ryzyko, kończące się co najmniej złamaniem szczęki (już widzę ten kijowski asfalt posypany moimi zębami). Wokół nas kipi nieprzyjazny ocean, powiadają moi przyjaciele.

Dlatego w Kijowie pisarze kontaktują się tylko z pisarzami. Albo - jak im się wydaje - z Bogiem rozmawiają. Bo co im pozostaje?

Dobrze, że nie mieszkam we Lwowie. Przez lata mojej nieobecności problemu z wodą - zdaje się - nie rozwiązano. Choć ogólnie życie we Lwowie zrobiło się ostatnio w odczuwalny sposób miłsze: nawet w naszych noto.-rycznie niesprzyjających każdej prywatnej inicjatywie warunkach inicjatywa owa zdołała nieco zmienić życie i krajobraz miejski. Ale dobrze, że nie mieszkam we Lwowie, bo nie przyjemność jest dla mnie najważniejsza.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęło się mówić, że Lwów chyli się ku upadkowi. Umacniał to przekonanie nawet wygląd zewnętrzny zdewastowanego miasta: stan ulic, budynków, walące się balkony i rynny, odpadające reliefy z elewacji, ciemności, mgła i chłód, zapaskudzone gównem i śmieciami podwórka. Lwów dosłownie konał, przeobraziwszy się w jeden wielki dworzec, swego rodzaju bazę wypadową dla dalszego przewalania się za zachodnią granicę Ukrainy tłumów obywateli WNP w króliczych czapkach i dresach.

W tym samym okresie Lwów porzuciła (porzuca zresztą do dziś) znaczna ilość „ludzi pociągu nr 92 relacji Lwów-Kijów“. Istnieje taka kategoria pół kijowian, pół lwowian. Tak więc większość „ludzi z pociągu nr 92“ dokonała wyboru - przynajmniej tymczasowo - na korzyść Kijowa. Lwów po prostu w oczach pozbywał się ludzi młodych, zdolnych, giętkich, mądrych. Oni sami oskarżyli o swój wybór kmiotów z miejscowej władzy, choć raczej oczywisty i zauważalny nawet gołym okiem był merkantylny powód takiej migracji. W Kijowie czekały na nich sporo większe zarobki i zawrotne kariery (człowiek z wyższym wykształceniem i dobrą znajomością języka urzędowego mógł zasnąć w randze zdolnego dziennikarza, a zbudzić się rano jako wicepremier albo przynajmniej jego sekretarz, co właściwie jest jednym i tym samym). Niektórzy z nich usprawiedliwiali nawet nieśmiało swoje przenosiny koniecznością „zukrainizowa-nia Kijowa bodaj w niewielkim stopniu“, ale przyjęło się wyśmiewać takich - zapewne słusznie.

Powstało więc swoiste błędne koło - Lwów upada, bo -wyjeżdżają stamtąd najlepsi ludzie, a najlepsi ludzie wyjeżdżają, bo Lwów upada.

W rzeczywistości jednak, jak pokazały następne lata, Lwów wcale nie upada. W pewnym sensie też się nie rozwija, to również prawda. Lwów jest konserwatywny z natury, ot co. We Lwowie zawsze pozostaje mniej więcej stała ilość swołoczy, szaleńców, patriotów, obywateli, mieszczan, cyganerii, kmiotów, moskali - wszystkich kategorii ludności. To znaczy - zostają zachowane mniej więcej stałe proporcje. Lwów dzięki temu pozostaje sobą, nawet w tymczasowym stanie rozstroju.

„We Lwowie powiadają, że poeta K. strasznie się na ciebie obraził“ - oznajmił mi jak zawsze niemłą nowinę pewien egzegeta. „Bo we Lwowie zawsze powiadają“ - odrzekłem.

We Lwowie powiadają, że córka doktora C. wyjechała do Stanów, żeby tam urodzić dziecko. We Lwowie mówią, że dentysta K. wyciąga nieboszczykom złote korony. We Lwowie gadają, że J. sypia z B., a Ch. z P. We Lwowie mówi się, że R. gustuje w chłopcach. We Lwowie gadają, że na wernisazu M. były kanapki z trutką. We Lwowie mówią, że Z. ostatnio bardzo wyłysiał, pewnie ma kochankę. We Lwowie mówią, że K-scy w zeszłą niedzielę nie pokazali się na mszy. We Lwowie mówią, że Ten kupił mieszkanie, Tamten - rozensznaucera, a Tamta jest Żydówką. We Lwowie mówią.

Po to, by zrozumieć wagę czynnika „mówią“ dla Lwowa, warto pomnożyć jego efekt przez polityczne i egzystencjalne zniewolenie wszystkich poprzednich epok, zwłaszcza zaś ostatniej z nich. Przez donosy, fabrykacje, wyławianie dusz. Tak, to we Lwowie po raz pierwszy mówiono, że Dz. złożył samokrytykę, Dż. się wyrzekł, a J. Ch. ukrzyżowano.

Dzięki temu miasto przetrwało i zachowało się w najgorszych nawet czasach. Bo prawdziwi Iwowiacy to jedna wielka rodzina, la familia, mafia, gdzie każdy każdego wspiera bezustannym plotkowaniem, zainteresowaniem, zazdrością, nienawiścią, graniczącą z miłością, wścibstwem. Jest szalenie żywotny, ten Lwów, i nie przypadkiem jest z rodziny kotów.

Lwów obserwuje cię czy raczej wpatruje się w ciebie niczym znana nietzscheańska otchłań. Niczego przed nim nie ukryjesz - to znakomity detektor, to nieomal detektyw, któremu nie umknie ani zdrada narodowa, ani zwyczajne cudzołóstwo, ani nawet niewinny szacher--macher przy grze w brydża. Ważne jest jednak to, że Lwów ci wszystko wybaczy. Bo w wielkiej rodzinie różne rzeczy się zdarzają. Toteż w rzeczywistości to nie żadna otchłań, a zwykły obywatelski dół, wspólny padół, wypełniony oparami ludzkiego ciała historyczny osadnik.

A co w Kijowie? Obojętność? Nikt nikogo nie chce znać? Wewnętrzna szarpanina mikroskopijnych środowisk w ich miniaturowych fortcach?

Nie lubię Kijowa, pisałem ponad dwa lata temu. Miałem wtedy osobiste powody po temu - to miasto popełniło potworny mord na moim przyjacielu. Właściwie taka historia mogła zdarzyć się i gdzie indziej, w jakimkolwiek innym mieście, w innym kraju, może i na innej planecie. Ale wówczas było to takie kijowskie, to zabójstwo, ten bezsens, ta śmierć z niczego!

Tak, właśnie z niczego. W Kijowie zawsze odczuwasz to Nic - nieomylnie wydobędzie z ludzkiego strumienia wszystkich innych, odmiennych, przypatruje się ich gestykulacji,

wysłuchuje się w język, wyławia stany ducha i najmniejsze zmiany nastroju. Chodzi niekoniecznie o unicestwienie tych innych - przede wszystkim zapewne (jeśli dane jest mi pojmowanie takich rzeczy) o ich unieszkodliwienie, czy, ściślej mówiąc: poskromienie. Wciąga do rejestru i już nie wypuszcza z pola widzenia - aż do ostatniego tchu. I jeśli mówić o otchłani, to właśnie ona.

Tego poranka dopiero co przyjechałem, wszędzie czekały na mnie jakieś spotkania, czyhały sprawy, rzuciłem się w wir już o ósmej, żeby wywiązać się ze wszystkich obiecanek cacanek chociaż w połowie. Koło dziewiątej dosięgła mnie straszna wiadomość, dalej poruszałem się już bezwiednie, bo po takiej wieści cała codzienna krzątania nagle traci sens. Dalej pokonywałem jednak niesamowite kijowskie odległości - może był to sposób samoobrony czy też iluzja ucieczki. Tak czy inaczej, wynurzałem się spod ziemi w różnych miejscach, dość od siebie oddalonych. I wszędzie widziałem to samo: sprzedaż mięsa na straganach ulicznych. To był jakiś dzień mięsa w całym Kijowie - koło stacji metra, na improwizowanych bazarkach, na schodach, na skwerach, w podwórzu jacyś ludzie sprzedawali mięso z obitych białą blachą, podobnych do wózków w kostnicy stołów, rąbali kawałki, łamali kości, nad nimi krążył puch topoli, osy i muchy, był czerwiec, było lepko i duszno, śmiertelny kijowski pył stał w powietrzu i osiadał na straganach, na martwych tuszach, na twarzach sprzedawców i kupujących, wszyscy jednak zajęci byli swoją robotą - dzielili, ważyli, obwąchiwali i przymierzali się do kupna.

Myślę, że to był humor. W taki sposób Nic żartowało sobie. To był taki film z okazji śmierci mego przyjaciela. Nic osiągnęło swój cel, kiedy mniej więcej tydzień później jakby samo się napisało zdanie „Nie lubię Kijowa“.

Muszę jednak tam jeździć - to nieuniknione, to, jak już pisałem, istotny kawałek mojego życia, droga ze Stanisławowa do Kijowa z koniecznym przystankiem we Lwowie.

Tym razem wszystko szło mniej więcej zgodnie ze zwykłym scenariuszem, choć raptowne ochłodzenie dało się odczuć już na peronie we Lwowie, przez co nie zdołałem wypalić spokojnie papierosa w towarzystwie nieznanym ziomków z sąsiedniego wagonu. W pociągu prawie natychmiast ułożyłem się do snu, bo wiedziałem, że poderwą mnie już o piątej; przed Kijowem należało jeszcze posprzątać wagon. Wagonowa rzeczywiście nie dała mi zbyt długo się wylegiwać, wrzasnąwszy do ucha straszne połączenie wyrazowe: „Mużczina, pa-djom!“. Cyferblat zegarka świecił w ciemności. Było za piętnaście piąta. Zacisnąwszy zęby i klnąc ten gorszy ze światów, wygrzebałem się spod płaszcza na chłód. Najtrudniej było domyć korytarz koło kibla, z mnóstwem petów, przymarzniętych do śliskiej, pokrytej krwawą plwociną podłogi. Przypomniałem sobie, że gdzieś koło pierwszej z korytarzyka dolatywały odgłosy jakiejś bójki. Pech, pomyślałem. Na sracz poszło z pięć wiader lodowatej wody. Przeszkadzali mi w tym inni pasażerowie, jakieś kobieciny w puchatych chustkach i krzykliwi kombatanicy z orderami na piersi. Korytarz domywałem w panice już w trakcie hamowania pociągu na stacji Kijów Centralny.

W Kijowie było ciemno, ale instynktownie poczułem, którędy mam iść, żeby trafić do dworcowej hali. Po drodze zatrzymywali mnie taksówkarze, łapali za łokcie i za poły płaszcza, świecąc mi w twarz zapalniczkami. A może zresztą, nie byli to taksówkarze. Przebiwszy się przez ich kordon, dostałem się do poczekalni, ale tam siedziało tyle śmierzących włóczęgów, kalek, Cyganiątek i pomy-leńców, że musiałem zawrócić już w wejściu, jak tylko zobaczyłem milicjanta o bandyckim wyglądem, który ruszył niedwuznacznie w moim kierunku.

Pamiętałem, że przed sobą mam wypełniony po brzegi dzień w Kijowie: wystąpienie na żywo w telewizji, posiedzenie rady wydawnictwa, na które nie zdążyłem nawet przejrzeć najważniejszych papierów, decydująca dla mnie rozmowa z holenderskim attache po angielsku czy po niemiecku, komitet koordynacyjny wraz z jego intrygami wewnętrznymi, wieczór autorski w Domu Nauczyciela i to, co na spodzie. W związku z tym musiałem doprowadzić się jakoś do porządku po tym nieznośnym pociągu. Można było to zrobić jedynie w szalecie publicznym, ale ogromna fosforyzująca litera „M“, na zew której się rzuciłem, okazała się wejściem do metra. Kolejka po żetony poruszała się na tyle wolno, że zdążyłem spostrzec, jak tracą przytomność ciężarne kobiety, jak pracują kieszonkowcy (było ich z dziesięciu, a jeden porozumiewawczo mrugnął i pokazał mi nóż, kiedy przypadkiem skrzyżowały się nasze spojrzenia), w końcu - jak rozszluszczona kasjerka przez okienko wsadziła ołówek w oko jakiegoś obrzydłego klienta. Ten złapał się za twarz, a przez palce wpływało mu oko. Skądś go znałem. Chyba jechaliśmy razem pociągiem.

Już na schodach ruchomych zrozumiałem, że się pospieszyłem - właśnie w godzinach porannych (było gdzieś za piętnaście siódma) w kijowskim metrze urządzają obławy. I rzeczywiście - na dole przy schodach kilku z żandermerii, zakutanych w wojskowe kozuchy, kontrolowało pasażerów. Paru pechowców już złapali do wojska. Zacząłem gorączkowo przypominać sobie, w jakich latach odbywałem zasadniczą służbę wojskową, żeby im coś odpowiedzieć, choć - jak opowiadano - niewiele to pomagało. Pozostawało jedno wyjście - odwrócić się i biec po schodach w górę, w kierunku przeciwnym do ruchu schodów. Na filmach widziałem coś takiego, więc pomyślałem, że to realne.

Nierealne było co innego: przedarcie się przez tę ciemność, przez ludzi i ich ciała, odzienia, kule, kikuty, sztuczne szczęki, rozczapierzone dłonie, rozdziawione gęby, przez worki, pełne zatechłego mięsa, przez twarde, chłodne powietrze. W tej chwili zdecydowałem, że nigdy, ale to nigdy więcej nie pojedę do Kijowa, w przerażeniu czując, że na tego rodzaju obietnice jest już za późno.

„Pasażerowie, proszę wstawać, za godzinę Kijów“ - bez złości powiedziała wagonowa. Wróciłem do własnego ciała, jak do przedziału. Było już zupełnie jasno, na zegarku dochodziło pół do szóstej.

Najwięcej radości przynoszą straszne sny, kiedy się kończą. Ty o tym wiesz, Kijowie.

(przełożyła Ola Hnatiuk)



## CZAS I METODA

Niebawem, zaledwie za jakieś dwa lata, skończę czterdziestkę, a to oznacza, że coraz częściej zamyślam się nad czasem. Czas jest co najmniej ważny, jak mawiał pewien mądrała. Czas to taka kraina, z której można wyjechać tylko do śmierci, dodawał, okazując skłonność do dekadencjonalnej metaforyki i tanatycznego piękna. Nigdzie przed tym nie uciekniesz, powtarzam sobie - najwyraźniej już zaczęła się ta smuga cienia, z każdym krokiem szybsze zbieganie w ciemną dolinę, zgrzytanie zębów, coraz bardziej przeciągające się depresje, częstsze pogrzeby, na których wypadałoby się pojawić, nieuzasadnione alkoholowe wypadki w stronę rzeczywistości równoległej, wreszcie - strach jako taki.

Dwadzieścia lat temu bardziej lubiłem przyszłość. Chciałem nawet, żeby nadeszła jak najprędzej. Przyszłość - to były przede wszystkim nowe możliwości, piękne kobiety, a dalej wszystko inne: podróże, miasta, mnóstwo dobrej muzyki. Prowadziła tam jedna, tylko droga, mówiąc ściśle, wijąca się wątła ścieżka, jakieś takie niepewne schody, które (używając „pochodzącej z prywatnego importu“ metafory ulubionego zespołu rockowego) chciało się uważać za „schody do nieba“ - były to wiersze. Dwadzieścia lat temu zapisywałem je w najrozmaitszych notesach i ukrywałem przed całym światem po bardzo intymnych zakamarkach. Nie miałem złudzeń co do ich publikacji. Perspektywa przeżycia niepozornego z zewnątrz i gęstego wewnętrznie życia nieuznanego (a prędzej nieznanego) geniusza (sic!) wabiła szczególnymi pokusami - być poza tym szarym potokiem, poza tym „procesem literackim“, być ponad nim, stać w chmurach i sardonicznie (lub wedle woli - anielsko) się uśmiechać.

Bo dwadzieścia lat temu studiowałem we Lwowie poligrafię i doskonale rozumiałem, że w naszych ukraińskich radzieckich warunkach łatwiej karawanie wielbłądów przejść przez ucho igielne niż „nie takiemu“ rękopisowi przedrzeć się na świat przez ubojnię redakcyjnych, recenzenckich, związkowych, cenzuralnych, partyjnych, policyjnych i wszelkich innych instancji. Oprócz tego musiałem zdawać egzaminy z estetyki marksistowsko-le-ninowskiej, teorii literatury, literatury ukraińskiej i rosyjskiej - i w każdym z tych przedmiotów wymagana była znajomość „jedynej słusznej metody twórczej“, co więcej - znajomość ta stanowiła rdzeń, w rzeczywistości była jedynym wymaganiem. I w żadnej mierze nie stymulowała wyjścia z podziemia. Tak zakreślał się mój zaczarowany krąg, swego czasu już zarysowany w powieści *Moscoviada*: typowa dla młodej bohemy końca lat siedemdziesiątych mieszanka wybuchowa agnostycyzmu, hinduizmu, chrześcijaństwa, muzyki, powiedzmy, Gene-sis, wytrawnego, czasem wzmacnianego wina, a także Marquez, Borges, Hesse i Księga Przemian, odbity nawet nie na ksero, tylko na powielaczu Bułhakow i ...nie ma sensu kontynuować, bo przecież dla każdego z nas, późniejszego „pokolenia lat osiemdziesiątych“, nasze prywatne podziemne uniwersytety były niemal jednakowe i różniły się co najwyżej większą skłonnością do „kosmopolityzmu“ albo przeciwnie - „narodocentryzmu“ (wówczas wszystko to, rzecz jasna, rozumiano niezupełnie tak jak dziś).

Właśnie tani, w zapluto-sakralnej atmosferze akademików, przy trzeszczącym adapterze i przy migoczących świecach, spotykałem swoich najpierwszych czytelników czy może słuchaczy. Kim byliśmy? Sektą? Tajnym klubem? Nieformalnym stowarzyszeniem snobów? Zbiorowiskiem juvenilnych *Vodka-Philosophen*?

Dobrze, że tamte moje wiersze nie miały szans. Dobrze, że nie nosiłem ich po redakcjach. Dziś już lepiej widzę, że w dziewięćdziesięciu procentach wiersze te były: pretensjonalne, manieryczne, przesłodzone, wtórne, niewprawne wersyfikacyjnie, mgliste, niejasne,

apolityczne, naiwne, banalne, wydumane, pasywne i opisowe, dotknięte niemocą ideową - można tu dodać wszelkie inne negatywne epitety z repertuaru ówczesnych konsultantów literackich (a propos, jest to chyba stanowisko, które zniknęło razem z totalitaryzmem).

Dobrze, że istniała jedyna słuszna metoda. Stanowiła zachętę do pisania niepoprawnych wierszy. Ale stanowiła także pokusę - i te właśnie mury, w których w tej chwili się znajdujemy, najlepiej to wszystko pamiętają.

Pokusy odszukały mnie nieco później. Czystość początków naruszyła moja pierwsza w życiu publikacja. Tak skapitulowała jedna z moich dziecięco-młodzież-czych fortec. Odnalazłem w sobie gotowość do kompromisu.

Pokusy bezsprzecznie były silnym argumentem. Stanowiły swego rodzaju system - całościowy i wielostronny, a w jego centrum znajdowała się idea przejścia z podziemia do oficjalnego obiegu. Znajdowały się tu nie tylko moje argumenty, ale dziś trudno już w jakikolwiek sposób je rozdzielić - moje własne od tych, z którymi przychodzili do mnie moi pierwsi literaccy przewodnicy i doradcy. Jakkolwiek by było, spróbuję rozwinąć przed wami (na ile zdołam sobie przypomnieć) tę małą jezuicką kazuistykę.

Tak więc, nagła konieczność zmiany mojego nastawienia wynikała przede wszystkim z tego, że:

- literatura narodowa znajduje się w skrajnie zaniedbanym położeniu, pozostawiona grafomanom i lokaj-czykom, i rozpaczliwie potrzebuje jakichś nowych „innych“ nazwisk;
- do wydawnictw już podocierali „nasi ludzie“ i możliwość wydrukowania niekoniecznie „sorealistycznej“ poezji pojawiła się niby sama przez się;
- jeśli mimo wszystko zrezygnuję z tej możliwości, to moje miejsce nie będzie świeciło pustką - przyjdzie ktoś inny, może gorszy, jakiegoś na przykład karierowiczowskie nic z komsomolską duszą, a ucierpi oczywiście ona - umęczona matka, Literatura Ojczysta;
- sprzyjający układ wydawniczy może okazać się bardzo tymczasowy - nie wiadomo, do jakich forteli uciekną się jutro ideolodzy czy kagiebiści, więc trzeba, niezwłocznie wykorzystać to, co mamy dziś;
- nikt nie zmusza i nie zmusi mnie do pisania fałszywych komunistycznych wierszy - czasy jednak się zmieniły, to już nie są lata trzydzieste czy pięćdziesiąte, partyjna góra trochę zmadrzała i nikt już nie wymaga peanów na cześć itp.;
- sama w sobie, w czystej postaci, idea równości społecznej i komunistycznych przemian społeczeństwa nie jest znowu taka paskudna; inna rzecz, że w praktyce rzeczywiście została spaskudzona, ale poeta ma prawo widzieć więcej i głębiej, a ponadto u Marksa i Lenina jest mnóstwo ciekawych myśli;
- jedyna słuszna metoda twórcza też nie jest już taka straszliwa - można z niej korzystać dość elastycznie,

można, ją rozumieć faktycznie na wiele sposobów, na co dowodem chociażby Bertolt Brecht albo niektórzy kubańscy, bałtyccy czy zakaukascy towarzysze;

- istnienie redakcyjnej biurokracji i cenzury odgrywa, poza wszystkim innym, także rolę pozytywną - w tych niezwykle trudnych warunkach bojowych talenty hartują się i zdobywają prawdziwą dyscyplinę, krystalizuje się szczególnie wysoki poziom artystyczny;
- nie można tego powiedzieć o poziomie wielu dru-goobiegowych autorów (a tym bardziej o poziomie piszących do szuflady) - brak cenzury rozpieszcza., doprowadza do zaniku odpowiedzialności i oryginalności autora;
- pisarz po prostu musi publikować - ten, który przestaje albo nie chce tego robić, niczego nie osiągnie i szybko się zdegraduje, bo będzie się kisił sam w sobie;
- bez opublikowanych utworów nie można zostać członkiem Związku Pisarzy, to znaczy osiągnąć uznanego w społeczeństwie statusu, dającego niedwuznaczne perspektywy pewnych korzyści materialnych;
- członka Związku Pisarzy nie można już tak po prostu aresztować - najpierw musi zostać wykluczony z tegoż Związku;
- i w ogóle - trzeba coś robić, Ukraina czeka i „nowa nadchodząca fala już zaświadcza swoją obecność w naszej sztuce“ (cytuje z pamięci, ale za Breżniewem).

Takie było to danie z trzynastu argumentów, chociaż w istocie mogło ich być znacznie więcej. Ale lubię liczbę trzynaście i dałem się przekonać. I czekało mnie nawet, jak to się mówi, „przychylne przyjęcie“. I coś tam nawet takiego dopisałem do mojego pierwszego tomiku o jakichś rewolucyjnych bałtyckich marynarzach, którzy idą szturmem na Pałac Zimowy, a podstępni junkrzy już zasiedli przy kulomiotach - tak naprawdę to była moja prywatna figa w kieszeni, bo chodziło tylko o kadry z filmu, o świat jako kino, o historię jako fikcję. Ale ta kieszonkowa figa ostatecznie pozbawiła wydawców obaw co do mojej lojalności i ich odpowiedzialności. Okazałem się normalnym „swoim człowiekiem“ i nie wiem, do czego by doszło, gdyby nie bubabizm.

W kwietniu 1985 w dość fantasmagorycznym mieście Lwowie powstało zjawisko - na pierwszy rzut oka - szamańskiej nazwie Bu-Ba-Bu. W rzeczywistości nazwa ta stanowi skrót od trzech pojęć, które można spotkać wszędzie w estetyce: burleska, bałagan (pochodzi z języka starohebrajskiego, gdzie oznacza „chaos“, u nas jednak funkcjonuje przede wszystkim w sensie „jarmarcznej budy z widowiskami i rozrywkami“), a także bufonada. Te właśnie trzy kluczowe zasady obrało dla siebie trzech młodych wtedy jeszcze poetów - Wiktor Neborak, Saszko Irwaneć i ja, mający tu dziś honor wszystko to mitologizować.

Ale co nas połączyło? Jakie mieliśmy podstawy dla takiego zjednoczenia?

Każdy z nas był niezadowolony z ogólnego stanu ukraińskiej poezji. Każdy uważał za swój obowiązek zmianę tego stanu. Zresztą, skąd to słowo - „obowiązek“? Po prostu nudziliśmy się w ówczesnym strumieniu oficjalnych publikacji, w tym bezkresie szarości i płaskości. Nie mówię tu o garstce znakomitych nazwisk, którymi zachwycaliśmy się i zachwycamy. Mówię i| właśnie o stanie ogólnym, bo to był koszmar.

I temu wszystkiemu przeciwstawialiśmy nasze Bu-Ba-Bu - przede wszystkim, by ratować w sobie poetów. Spotykaliśmy się co dwa czy trzy miesiące, czytaliśmy sobie nawzajem nowe

teksty (i nie tylko własne), włóczyliśmy się, gdzie i z kim nam się podobało, popijaliśmy, słuchaliśmy dobrej, zabronionej muzyki, nocowaliśmy po wszelkich cudzych mansardach i wieżach z kości słońskiej, a kiedy później, jutro-pojutrze, znowu się rozjeżdżaliśmy, każdy zabierał ze sobą porządny zapas świeżego powietrza w płucach.

Było to coś na kształt hermetycznego tajnego zakonu, częściowo błazeńskiego. Albo nie - inna filozofia życiowa, quasi-filozofia, mówiąc szczerze.

Okazało się, że nasze towarzystwo jest magnetyczne. Władaliśmy siłą przyciągania, powiększając kręgi swoich zwolenników. Powstawały jakieś na poły parodystyczne rytuały, wewnętrzne i zewnętrzne, i nawet pewna hierarchia.

Bubabizm przejawiał się w pierwszym rządzie nie w druku (w owym czasie - druga połowa lat osiemdziesiątych - istniały jeszcze ogromne problemy z cenzurą), ale przez żywe kontakty z publicznością. Mogły to być zwykłe wieczory literackie w tradycyjnej postaci: z deklamacją i dialogami, i - o dziwo - cieszyły się powodzeniem. Z czasem forma stawała się coraz bardziej syntetyczna: muzyka, kostiumy, światło, pirotechnika. Tak, i zawsze maski. Osiągnęło to apogeum jesienią 1992 roku na scenie Opery Lwowskiej. Przez cztery wieczory wystawiano na niej oszalamiający, skonstruowany na motywach naszych tekstów spektakl pod głośnym tytułem Chrysler Imperial, w którym to my sami byliśmy głównymi wykonawcami, a prawdziwi aktorzy - dekoracjami, widownia pękała w szwach, publiczność ledwie coś rozumiała, ale strasznie się cieszyła, do tego wszystkiego była jeszcze orkiestra symfoniczna, cztery zespoły rockowe, chór dziecięcy i oślepiający wybuch w finale.

Ale co mamy dziś? Dziś, poza wszelkimi rachunkami i wątpliwościami, młodość minęła, każdy z nas znalazł się na własnej drodze, sam na sam z tą drogą - tak musiało się stać, bo tak bywa zawsze, choć my nie chcieliśmy wierzyć, że do tego dojdzie. Jednak warto przy tym wziąć pod uwagę jeszcze jeden ważny niuans. Nasza młodość minęła niemal równocześnie z epoką totalitaryzmu. I czy nie był nasz bubabizm, który uważaliśmy także za wyzwanie rzucone totalitaryzmowi, czymś, co mogło zaistnieć tylko dzięki niemu, temu właśnie totalitaryzmowi? Może te maski, za każdym razem inne, z którymi tak wesoło się bawiliśmy, tak naprawdę były elementami przymusu? Może chodziło nie tyle o maski, ile o maskowanie - polityczne, społeczne, kulturalne, jeszcze inne?

Chwała Bogu, nie znam odpowiedzi na te pytania.

Nie znam wielu innych odpowiedzi. Mówi się, że to ponoć jedna z oznak tego, co nosi nazwę doświadczenia. I im mamy go więcej, tym mniej odpowiedzi. Może na tym właśnie polega moja nieodpowiedzialność - byłoby mi znacznie łatwiej mówić o odpowiedzialności na przykład Brechta niż o swojej własnej. O duchowej pokusie ideologii lewicowej, ideologii prawicowej, dowolnej ideologii politycznej. Albo o takim wynalazku, jak „post-socrealizm“ - głównym nurcie współczesnej literatury ukraińskiej - o całym tym złomie, balaście, tych od razu rozpoznawalnych „środkach artystycznych“, o tych chorążych, którzy w żaden sposób nie chcą rozstać się ze swoimi obwisłymi i wyblakłymi sztandarami.

Ale lepiej powrócę do refleksji na temat czasu - niedługo skończę czterdzieści lat. Czas wyjątkowo dobrze mnie potraktował. Dzięki jego traktowaniu zrozumiałem, że najlepsza poezja zawiera się w odstępach między słowami, a najlepsza proza to ta poprawiona i wykreślona. W związku z tym pisanie staje się coraz trudniejsze i nie wiadomo, czy w ogóle

możliwe. Mimo to nie tracę nadziei na znak, aluzję, rozmach, pozwolenie. To coś w rodzaju oczekiwania. I to je właśnie nazwałbym jedyną właściwą metodą twórczą.

1997

(przełożyła Katarzyna Kotyńska)

## TRZY WĄTKI BEZ ZAKOŃCZENIA

Jeden z popularnych mentorów przeszłości, zdaje się Goethe, powiedział, że poetę można zrozumieć naprawdę dopiero wtedy, gdy odwiedzi się jego dom; nie jest całkiem jasne, co począć z poetami bezdomnymi, którzy według mnie stanowią znaczną większość. Pozostaje mieć nadzieję, że przez „dom“ weimarski mistrz rozumiał znacznie więcej niż zwykłe mieszkanie.

Nie tak dawno udało mi się odwiedzić dom poety, który ponad dwadzieścia lat temu wciągnął mnie w dziwny gąszcz swej metafizyki i którego - taka moja fantazja - do dziś uważam za największego z ukraińskich wizjonerów. Mam na myśli Bohdana Ihora Antonycza (1909-1937), którego książkę, wydaną w czarnej obwolucie, poniekąd zabronioną, wycofaną z katalogów bibliotek, w moich studenckich czasach przekazywano sobie z rąk do rąk. Na tajnych seansach spirytystycznych początkująca bohema wywoływała jego ducha i wypytywała o kontakty w zaświatach z Jimem Morrisonem. W ten sposób we Lwowie, Kijowie i Bóg wie gdzie jeszcze, nawet w Moskwie, powstawały nieoficjalne towarzystwa czarnoksiężników - adeptów Antonycza, do których, rzecz jasna, i ja należałem.

O tym, co uznać za dom Antonycza - Lwów, Europę Środkową, Galicję, Ukrainę, czy też może ukraińską poezję - można dyskutować w nieskończoność. Sam poeta w jednym z ostatnich wierszy nazwał się jedynie przygodnym gościem“ na tej ziemi i określił swój dom kosmicznie - „za gwiazdą“. Ale pewnego upalnego sierpnia znalazłem się całkiem blisko (w odległości siedmiu kilometrów) od jego małej ojczyzny - miejsca, gdzie przygodny gość przygodnie zawitał na ten świat na przygodne ćwierć wieku.

Nowica leży w powiecie gorlickim, w Beskidach, zewsząd otoczona łemkowskimi lasami. Kiedy wjechaliśmy do wsi, była niedziela, gorące przedpołudnie - i żywego ducha wokół nas. Wieś okazała się niewielka: na oko trzydzieści do czterdziestu chałup i - jak to się mówi u nas - „bez perspektyw“. Wszelkie perspektywy odebrano jej około czterdziestego siódmego roku, kiedy miała miejsce akcja, fenomenalna pod względem cynizmu nawet w naszym, tak obfitującym w cyniczne i krwawe rozprawy stuleciu. Wtedy właśnie deportowano stąd nie tyle mężczyzn, kobiety i dzieci, a życie jako takie.

Tradycyjne przysadziste chaty z poczeriałego drzewa. (potencjalny obiekt analitycznych ekstaz uczonych etnografów) po dziś dzień pozostają w większości martwe, zamknięte na cztery spusty i mroczne. To rzeczy same w sobie. Opozycyjna młodzież końca lat osiemdziesiątych podążała tu z pielgrzymkami z miast uniwersyteckich w poszukiwaniu własnej tożsamości. W jednej z takich czarnych chat miały miejsce ich - nieomal rytualne - schadzki, podobne do seansów pierwszych chrześcijan w katakumbach. Oczywiście recytowano wiersze Antonycza. Płonęły świece, rodziły się pierwsze dramaty miłosne. Do dziś zresztą można zajrzeć przez okno i zobaczyć polepę, drewniane ławy, czeluść pieca. Wykorzystałem tę szansę.

Potem droga wiodła do cerkwi i niewielkiego cmentarza obok niej. To już był niepodważalny autentyzm miejsca. Antonycz-senior, ojciec Wasyl, odprawiał tu mszę do 1915 roku, kiedy zmuszony był ewakuować się stąd wraz z rodziną na zawsze: nadchodzili Rosjanie, w powietrzu pachniało krwią i eterem, który, nawiasem mówiąc, w tych okolicach z jakiegoś powodu nazywają „kropką“.

W cerkwi właśnie trwała msza, koło trzydziestu ostatnich staruszków, uosobienie społeczności Nowicy, wtórowało księdzu w średnim wieku. Kilku wędrownych tolkienistów z ekwipunkiem turystycznym przyglądało się tej bizantyjskiej egzotyce i wsłuchiwało w zmęczony śpiew „Hospody pomyśl”. „Wieś wymiera” - przypomniałem sobie podręcznikowy utwór. Na cmentarnych krzyżach z synkopowanymi niczym muzyka łemkowska nazwiskami od czasu do czasu pojawiała się cyrylica, przypominając o blaskach i cieniach historii.

Był w końcu także dom, nie, dom był nie ten, było miejsce, w którym stał niegdyś dom ojca Wasyla Antony-cza, dom poety - w najbardziej wąskim, ścisłym znaczeniu. Możliwe, że właśnie dlatego już nieistniejący, starty z powierzchni ziemi. Ktoś inny jest tu gospodarzem. Tablicę pamiątkową w 1989 roku trzeba, było umieścić naprzeciwko - gospodarz obejścia nie wpuścił na terytorium stanowiące teraz jego własność. Jedyne więc, co pozostało, to jesiony, dwa stuletnie bez wątplenia drzewa, które zapewne rosły u wrót plebanii. Kiedy były całkiem młode, urodził się poeta. Rosły drzewa i rósł Antonycz.

Na tym koniec bajki.

Życie na ziemi jest niczym ślad na wodzie.

Dobrze temu, kto ma swój dom za gwiazdą.

W ciągu ostatnich siedmiu czy ośmiu lat, powracając z jakichś bardziej zachodnich wędrowek, zdobyłem okazałe doświadczenie w przekraczaniu polsko-ukraińskiej granicy. Nie ma się tu czym chwalić, więc się nie chwale, jedynie stwierdzam.

Bliskość granicy określa tryb życia. Bliskość granicy to taka kazirodcza miłość celników i przemytników. Znam twarze jednych i drugich. Wiem, jak wygląda pol-sko-ukraińska przyjaźń na progu nowego tysiąclecia w nowej, przepraszam, Europie.

Na mojej drodze dość często pojawia się Przemyśl, jedno z „miast pogranicza”, ot, taki wschodni Strasburg albo Triest. Niektórzy historycy twierdzą, że w okresie międzywojennym (nie mówiąc już o początku wieku) Przemyśl był w znacznie większym stopniu ukraiński niż Lwów. Historycy w ogóle lubią przytłaczać faktami - rzucają nimi niczym kamieniami. A my mamy przeciw historykom rzeczywistość - dzisiejszą.

Dzisiejszy Przemyśl również wypełniają Ukraińcy, niestety, nie miejscowi, a jednodniowi, przyjezdni, bazarowy lud z różnych zakątków ojczystego kraju. W dzisiejszym Przemyślu Ukraińców najczęściej nazywają „szoszonami”. To, rzecz jasna, danina złożona fonetyce - reakcja na słowo najczęściej wyławiane na bazarze uchem - „szo-szo?”. Dwadzieścia lat temu, kiedy w śródmieściu Lwowa tłoczyli się handlujący prosto ze swych maluchów Polacy, zaczęto nazywać ich „przekami” - na tej samej fonetycznej zasadzie. Ale prócz gołej fonetyki jest także semantyka, znaczeniowa otoczka. Jak sobie wyobrażacie „szoszona”?

Mieszkańcy Przemyśla wyobrażają go sobie zazwyczaj jako zabiegane, stworzenie, odziane w chiński dres, co najmniej sześciorekie - odpowiednio do ilości wielkich kraciastych toreb, przeważnie posługujące się językiem rosyjskim (mieszkańcy Galicji najczęściej docierają do dalszych, położonych bardziej na zachód i północ bazarów). Znaczna część przemyskich obywateli dzięki „szo-szonom” i ich niezwykle państwu całkiem nieźle urządziła się w

tym życiu, zgodnie z leksykonem bazarowych egzystencjalistów „opylając“ wszelaki kram budzący pewne wątpliwości oraz niewątpliwą tandetę. Stąd też stosunek do „szoszonów“ mają raczej wyrozumiały. Interesy handlowe biorą górę, bliskość granicy pociąga za sobą tolerancję i zgodę, więc niemal wszystkie szyldy i reklamy są dwujęzyczne, jak sądzą mieszkańcy Przemyśla, po rosyjsku, choć w istocie to jakiś inny język, najpewniej szoszoński: odziejały, mebeli, obmijen walut.

Do tego dzisiejsi Ukraińcy dość wyraźnie i korzystnie różnią się od dawnych Ukraińców z rodzinnych opowieści i książek dla dzieci i młodzieży. Tamci Ukraińcy wszyscy byli „rezunami“, „atamanami“, chodzili z siekierami w rękę i wiernie służyli Niemcom lub Rosjanom, pomagając w mordowaniu narodu polskiego. Pamiętam, że moja znajoma, ujrawszy banknot pięciohrywnowy, bardzo się zdziwiła: „Przecież on wygląda zupełnie jak Sobie-ski!“. W jej wyobraźni Chmielnicki miał zapewne przypominać jakiegoś King-Konga. Albo Wańkę - Kaina.

Mija siedem czy osiem lat, od kiedy zacząłem powracać ze swych wędrówek do Lwowa przez stolicę polskich skinheadów - Przemyśl - przemierzając to „sporne terytorium“, „wspólne terytorium“, tę Galicję. Od siedmiu czy ośmiu lat widzę wciąż to samo: autobus wypchany po brzegi ruchliwymi rodakami i ich torbami, klótnie wybuchające z byle powodu, nieprzyjemny zapach, język rosyjski, rosyjskie disco, zrzutkę na łapówkę dla straży granicznej i celników (po dziesięć dolarów od jednej dużej torby). Prócz tego dwóch czy trzech Polaków, rozpoznawalnych na pierwszy rzut oka - jacyś turyści w poszukiwaniu Atlantydy polskiego Lwowa (kościół, grobowce, Orleńta).

Czytam na przydrożnych znakach nazwy: Mościska, Sudowa Wisznia, Gródek - każda z nich wchłonęła w siebie tyle, że stała się większa od historii, od mitu, nawet od poezji. Ale tu, obok mnie, jedzie realna Ukraina - poza historią, poza mitem, poza wszystkim na świecie, ot, takie „szo-szo

Od niedawna przebywam w kręgu szczególnego wpływu pewnej na poły historycznej sceny. Zapewne wpływ ten można wyjaśnić autentyzmem miejsca: znajomy historyk sztuki opisał ją właśnie tam, gdzie wszystko to się działo, to znaczy w kościele Najświętszej Marii Panny, zwanym także kolegiatą, w samym sercu starego Stanisławowa, przy placu Szeptyckiego, placu, który swego czasu bywał i placem Ferdynanda, i placem - z jakiegoś powodu - Uryckiego.

Proszę wyobrazić sobie ten sen. Dzieje się w 1751 roku, więc jest ten sen chyba barokowy. Ceremonia pożegnania z zabalsamowanym ciałem hrabiego Józefa. Potockiego, wojewody kamienieckiego, wielkiego hetmana koronnego, i tak dalej - wszystkie jego tytuły nie zmieściłyby się zapewne w dopuszczalnej objętości tekstu. Ciało męża stanu i właściciela miasta przywieziono tu z rodzinnej posiadłości w Założcach - musi zostać pochowane właśnie tu, w podziemiach kościoła, w rodzinnym grobowcu, obok innych Potockich, w pobliżu starszego brata Józefa., Stanisława, który to jeszcze w minionej epoce, sześćdziesiąt osiem lat temu (całe życie ludzkie!) zginął pod Wiedniem. Ale to już inna historia, inny sen, o wielbłądach i Turkach w barwnych namiotach. Wracamy do pierwszego.

Opłakiwanie nie zna granic, rozpacz jest bezgraniczna.. Pożegnanie z ciałem trwa wiele dni, otwarty sarkofag, półmrok, muchy, świeczki, łacińskie słowa requiem. Najbardziej oddani kompani hrabiego wpadają do kościoła na koniach, następnie zaś z okrzykami rozpaczcy zadają sobie rany nożem. To symbol rozpaczcy. Boże, czemu jego zabrałeś, a nie mnie?



To ostatnie przejawy sarmackiego ducha, to jesień „Rzeczypospolitej obojga narodów“. To po prostu jesień. Jeszcze raz jesień, ale według Huizingi, czyli jesień średniowiecza. To sceny z Teatru Świata, gdzie rany są prawdziwe, krew także, aktorzy grają do upadłego, nie grają, a żyją, nie - żyją, czyli grają. Tu nie chodzi o szczerość, a o samowystarczalność gestykulacji.

Mieszkam w tym mieście, któremu wyraźnie brakuje wyrazistości - musi zostać wymyślona albo śnić się. To miasto bez wątplenia ma mniejsze znaczenie historyczne od sąsiedniego Lwowa czy Czerniowców. Leży akurat w połowie drogi między nimi, czyli w strefie przecinania się ich cieni, królewskiego i książęcego. Można je uznać za pominięte przez „wielką historię“. Stąd każdy z podobnych snów wydaje mi się ogromnie ważny. To za każdym razem przypominanie nam o czymś wielkim. Co mamy dziś począć z tymi przypomnieniami?

Nie jestem zwolennikiem skrajności, a tym bardziej patetycznych narzekań na Zeitgeist. Ale przepełniony krzykami i szlochami sprzed dwustu pięćdziesięciu lat, wciąż zahipnotyzowany świeżymi ranami na szlacheckich piersiach, wychodzę z kolegiaty. Wokół mnie powszedniość.

Śródmieście jest bazarowe, odrapane, z budynkami w katastrofalnym stanie, ze szczurami i chłłamem. To, proszę mi wybaczyć górnolotność, obiekt moich dawnych inspiracji. Był taki czas, kiedy starałem się przejąć funkcje restauratora i z pomocą najbardziej ulotnego z materiałów - języka. - odbudować choćby fragmenty murów, wież, miłości i snów, które niewątpliwie - tak chciałem - musiały się tu zdarzyć. Dziś jest tu zbyt ciasno, zbyt brudno, każdy coś sprzedaje, dobudowuje, burzy. Boję się, że to potomkowie karpaccich opryszków w końcu zajęli miasto i zarzucili je towarem trzeciej jakości tudzież najpospolitszą muzyką z Moskwy. Boję się, że to szczególnie wyszukana ironia historii. Chodzi nawet nie o brak herbu Potockich na bramie ich w końcu

- Potockich - zamku. Obraz wroga można rzutować w przeszłość i długo jeszcze pielęgnować. Tylko co zrobić z przyszłością?

Ale zarzekałem się, że będzie bez patosu. O przyszłości ani słowa - jest tak daleko, że można jej nie dożyć. Zatrzymajmy się tu i teraz. To nasz kraj, obdarta prowincja, koniec wieku, koniec świata i wszystkiego innego. To nasze terytorium - innego nie ma. Roszczeń terytorialnych na razie nie przewidziano. Niech więc nikt nie przeszkadza, nam jej burzyć.

(przełożyła Ola Hnatiuk)

## CZARNOBYL, MAFIA I JA

Katastrofa, od której minęło już kilkanaście lat, wydarzyła się pod koniec kwietnia. Pogoda świadczyła o tym, że wiosna nieuchronnie bierze górę: drzewa zaczynały kwitnąć, młoda trawa przebijała się, gdzie tylko mogła, mój syn miał czterdzieści sześć dni, moje nowe wiersze były tuż-tuż. 26 kwietnia 1986 roku o niczym nie wiedzieliśmy, tak samo zresztą jak 27, 28, 29... O ile pamiętam, w przeddzień święta i maja media podały jakiś komunikat o „przejściowych problemach“ i „sytuacji pod kontrolą“.

Dziś, pod koniec epoki, chciałbym jeszcze raz postawić pytanie: co właściwie wydarzyło się na Ukrainie 26 kwietnia 1986 roku? Nie będę unikał wielkich słów: wybuch atomowy był wtargnięciem wieczności w doczesność, ujawniającym przy tym istnienie różnych hierarchii. W języku analizy politycznej wydarzenie to można by opisać w nie mniej katastroficzny sposób: oto mieszkańcy imperium sowieckiego dowiedzieli się, że istnieją na świecie siły potężniejsze od politbiura. Jednak, by w pełni uświadomić sobie ten fakt, musiało upłynąć jeszcze trochę czasu.

Jakie były nasze pierwsze reakcje? Zrozumieć je - to zrozumieć, co znaczy bać się wiatru, deszczu, świeżej trawy, bać się światła. Albowiem już w pierwszych dniach maja wielu z nas odczuło bliską obecność innej śmierci - niewidocznej i niesłyszalnej, śmierci na wyrost, która czaiła się wszędzie - w sadach, w kwiatach, w wodzie i powietrzu, w mieszkaniach, we wnętrzach ludzkich ciał, w których zniemacka rozbłysła ich tymczasowość, obecność śmierci tak bardzo pozbawionej formy, że jakkolwiek opór tracił sens.

Oporu więc nie stawiano, ale wybuchła panika: dziesiątki tysięcy ludzi uciekało z rejonów położonych niedaleko miejsca katastrofy, zwłaszcza z Kijowa. Szerzyły się pogłoski, że nastąpi powtórny wybuch, któremu nie można zapobiec i który ma być znacznie silniejszy, „wskutek czego w Kijowie będzie tak, jak teraz w Czar-nobyłu, a w Paryżu - jak w Kijowie“. Jak okazało się nieco później - pogłoski te nie były bezpodstawne. Uciekano przeważnie na zachód. Bo u nas zawsze z jakiegoś powodu ucieka się na Zachód, tyle że żelazna, kurtyna ograniczała ów Zachód do zachodniej części Ukrainy, która - schowana w Karpatach - stwarzała iluzję czegoś w rodzaju Szwajcarii. Nigdy nie zapomnę tych przepełnionych dworców, ludzi z dziećmi na rękach, zaduchu, kłótni, mdlejących kobiet w ciąży, beznadziejnego wielogodzinnego wyczekiwania w kolejkach po bilety, horrendalnych cen u spekulantów, lepkiego, już prawie śmiertelnego potu na twarzach i dłoniach.

Oficjalne stanowisko władz w sprawie katastrofy przez pierwsze dwa miesiące wciąż się zmieniało. Początkowe milczenie przerodziło się w coraz hojniej dozowane informacje, a zaniżanie danych - w publiczne oświadczenia coraz bliższe prawdzie.

Czas oraz stopniowo wprowadzany w życie plan gorbaczowowskiej demokratyzacji sprawiły, że rutynowo bezpardonowa, socrealistyczna brawura (prości radzieccy ludzie, prawdziwi bohaterowie, stanęli do boju z żywiołem i zwyciężyli) ulegała coraz bardziej cynicznym, ale i komicznym deformacjom, musiała bowiem ustąpić pola pesymizmowi, po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat oficjalnie dopuszczonemu przez władze.

Dla mnie osobiście miesiące te upłynęły pod znakiem kilku wydarzeń: 9 i 10 maja obchodziliśmy we Lwowie 25. urodziny dwóch moich przyjaciół poetów: „bubabisty“ Wiktora Neboraka oraz „sentymentalnego metaforysty“ Iwana Malkowycza. Do alkoholowych sensacji dochodziło jednocześnie w czaszkach i wnętrznościach - to, że stoimy

w obliczu czegoś wielkiego i przerażającego, odczuwaliśmy niemal fizycznie. Miesiąc później dobrało się do mnie KGB w postaci dwóch oficerów naraz. Tym sposobem młody poeta poznawał kategorie egzystencjalne. Poza tym w Meksyku odbywały się mistrzostwa świata w piłce nożnej, a ja często zabierałem syna na spacer w okolice podmiejskich jezior, sadów, na stary cmentarz żydowski, do zrujnowanego młyna wodnego - dokądkolwiek, byle dalej, w nieznaną. Wtedy też powstało kilkadziesiąt moich nowych wierszy. Słowa „Czarnobyl“ nie ma w żadnym z nich, co już rok później, wiosną 1987 podczas jakiegoś seminarium literackiego, zostało wytknięte nie tylko mnie, ale również wielu innym młodym poetom jako dowód na „obywatelski infantylizm i bierność“. Jak można było nie napisać ani słowa na tak bolesny i heroiczny temat!

Jeden z pisarzy (zdaje się, że był to najbardziej szacowny klasyk tamtego czasu) wyciągnął na świat boży rozdział 8 Apokalipsy, wersy 10 i 11: „I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piołun. I trzecia, część wód stała się piołunem, i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie“. Tak oto mistyczna parabola piołunu, rośliny, która po ukraińsku zwie się również czarnobylem, uzyskała porażającą jednoznaczność. To z kolei sprawiło, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych po raz pierwszy zaczęliśmy się zastanawiać nad chimerą chronologii, nagle przypomniał nam się, że do końca tysiąclecia zostało nie tak znów wiele lat i że te właśnie lata mieszczą się w naszych biografjach. Spełnia się zatem to, co napisano w Księdze, z czego wynika, że to właśnie my zostaliśmy wybrani, aby ujrzyć zagładę świata i zginąć z nim jako ostatnie pokolenie gatunku ludzkiego.

Tymczasem zobaczyliśmy zagładę nie świata, lecz systemu. Wybuch w Czarnobylu bez wątpienia odegrał decydującą rolę w jego rozpadzie. A wszystko zaczęło się od prostego uświadomienia sobie faktu, o którym już wspominałem: był okazał się bardziej skomplikowany, niż twierdził Kreml. Wymiar egzystencjalny okazał się ważniejszy od politycznego. Im więcej odsłaniano tajemnic, tym bardziej chwiały się system. Władzom nie można było wybaczyć milczenia w pierwszych dniach po katastrofie oraz histerycznych prób wprowadzenia spokoju w dniach następnych, nie można było wybaczyć pierwszomajowego pochodu dzieci na ulicach napromieniowanego wzdłuż i wszerz Chreszcztatka ani tajnego rozporządzenia, nakazującego zatajenie liczby rozpoznanych przypadków zachorowań onkologicznych, liczby anatomicznych mutacji; nie można było wybaczyć propagandy sukcesu w walce z żywiołem, cenzury, cynizmu, przydziałów nieskażonej żywności dla wybranych; nie wybaczone władzom również tego, że o Moskwę dbały za cenę Kijowa. W grudniu 1991 roku wszystko to razem zadziało jak wielki reaktor - imperium się rozpadło, ponieważ utraciło zlekceważoną Ukrainę.

W taki sposób zdobyliśmy niezależność z gorzkim posmakiem Apokalipsy. Do końca tysiąclecia pozostało dziewięć lat, do końca świata w przybliżeniu tyle samo, ledwo zdążyliśmy...

Obraz mojego kraju czy „młodego państwa“ - jak go u nas nazywają przedstawiciele władzy, licząc zapewne na pobłażliwość w ocenie ich działalności - jest zupełnie niepociągający. Jeżeli Ukraina w ogóle zasługuje na jakąś uwagę, to przede wszystkim zawdzięcza to łańcuchowi komponentów negatywnych, które układają się w szeregi niesłuchanie precyzyjnych asocjacji: w Czarnobylu może dojść do kolejnego wybuchu.

Obraz Ukrainy to obraz wczorajszego więzienia przerobionego w pośpiechu na targowisko-dworzec. Prawo rządzące w więzieniu nadal tu obowiązuje, ponieważ prawem więzienia jest

bezprawie. Nic więc dziwnego, że następnym po Czarnobylu pod względem znaczenia i widoczności komponentem negatywnym jest chyba ukraińska mafia. I to nie tylko ci jej członkowie, którzy ostrzeliwiają w Pradze właścicieli kiosków lub wysadzają w powietrze samochody w centralnych dzielnicach Budapesztu. Ogólnie rzecz biorąc, są nimi wszyscy. Korupcja jest permanentnym stanem stosunków międzyludzkich, a prostytucja zjawiskiem całkowicie normalnym. Handel kobietami to jedno z najbardziej dochodowych zajęć. Kobiety są dość ładne, nie zepsute feminizmem i tylko marzą o cudzoziemcach - jak to ujął pewien znawca.

Zresztą nawet lubię te dawno już nieoświetlane ulice i zaułki naszych miast, te straszne, przeżarte alkoholem nocne kawiarnie, te ciasne, przesiąknięte papierosowym dymem bufety w naszych superwolnych pociągach, te bazyry i sklepiki kontrolowane jedynie przez reketierów. Te gęby, paszcze, mordy i ryje - kobiece, męskie i na pół dziecięce, tę wielką nocną integrację pijanego narodu, fontanny hojności, miłości, przychylności - tak, oto my - wielka rodzina, mafia: bracia i siostry.

Co można dodać? Może jeszcze zrujnowane krajobrazy, z których każdy przypomina taki mniejszy Czarnobyl, coś w rodzaju przemysłowych rumowisk, które w wizjach Tarkowskiego stawały się pomnikami produkcyjnego idiotyzmu. Przepelnione śmietniki, z których każdy zdaje się świadczyć o naszej kulturze, która sama siebie nazywa jedną z najstarszych kultur w Europie. Powszechna lumpenizacja wszystkiego i wszystkich: tandetna rosyjska muzyka, ogolone głowy, spirytus przemysłowy, wybuchy epidemii cholery i brutalności. Ciągłe rozmowy o ucieczce, wyjeździe, o Grecji, Argentynie oraz Włoszech, kombinacje z wizami, beznadziejne kolejki do zachodnich ambasad.

Wszystko to widać zbyt wyraźnie, bo wszystko to leży na powierzchni. Czy istnieją jeszcze jakieś głębsze pokłady, czy w ogóle cokolwiek ocalało? A co pozostaje ukraińskiemu pisarzowi w czasach, kiedy marzeniem przeciętnego Ukraińca jest porzucić tę ziemię na zawsze, ten kraj, którego nie żał? Czy i ja miałbym go porzucić? Zmienić język? Przestać pisać?

Inaczej mówiąc: czy po Czarnobylu możliwa jest poezja? Czy możliwa jest poezja, w czasie Czarnobyla, pod koniec czasów?

Oto on - pisarz. Ma coraz mniejszą publiczność, złożoną notabene głównie z takich jak on nieudaczników. Jego język coraz bardziej ogranicza się do niego samego, przestaje być narzędziem komunikacji, staje się fortecą, a ściślej mówiąc, muszlą. Jego przyszłość - ten ostatni przytułek grafomana - nie ma żadnych optymistycznych aspektów (dokoła siebie widzi jedynie głupią i cyniczną młodzież, bo najlepsi uciekają, migrują, emigrują, mimikrują). I rzeczywiście - to ich święte prawo, i nikt nie może zabronić ludziom szukania dla siebie lepszego miejsca w świecie, nawet pisarz.

Co mu zatem pozostaje?

Sądzę, że nie tak znów mało - pozostaje dobrze pisać. Rola pisarza nie zmienia się nawet w zlumpenizowanym społeczeństwie, gdzie nie ma miejsca na idee, bo niepodzielnie panują instynkty. Rola pisarza nigdy się nie zmienia. Jedyna różnica sprowadza się do tego, że w zlumpenizowanym społeczeństwie pisarz musi mieć świadomość, że nikt go nie usłyszy. Bynajmniej nie zwalnia go to z obowiązku pisania dobrze. Albowiem taki ma obowiązek wobec samego siebie. Ale nie tylko.

Ponieważ pozostaje mu nadzieja. Nadzieja możliwa nawet po Czarnobylu.

Wyniki niedawno przeprowadzonych badań kilku ekspedycji medycznych pokazały, że stan zdrowia wielu osób nielegalnie zamieszkujących radioaktywną żonę, ogólnie rzecz biorąc, jest lepszy od stanu zdrowia „wszystkich pozostałych“, to znaczy tych, którzy mieszkają w ponoć bezpiecznej odległości od owej żony. Innymi słowy, ludzie, którym zabroniono mieszkać w żonie ze względu na śmiertelne zagrożenie, nie dość że nie poumierali, to wydają się nawet bardziej żywi od wielu innych. Czy to nie cudowne, że natura nie chce poddawać się kategoriom naukowej przewidywalności? Zamiast więc masowych zachorowań na raka (ich szczyt prognozowano właśnie na 10-15 lat po katastrofie) mamy do czynienia z ogólnym pogorszeniem stanu zdrowia, ale nie tak znów tragicznym, jak przypuszczano. Być może mamy do czynienia ze szczególną formą czyjegoś miłosierdzia, polegającą na rozdzielaniu choroby każdemu po równo. Może też więc na wszystkich rozdzielić odpowiedzialność? I zrównać wszystkich w szansie na oczyszczenie? Być może te dane wskazują na nowy początek? A możliwość liczenia lat od zera. jest szansą równie niezasłużoną, co okupioną cierpieniem.

Dlatego nie tracę nadziei, że wszyscy dożyjemy następnego kwietnia. Że wiosna nieuchronnie weźmie górę, co potwierdzi pogoda: drzewa zakwitną, młoda trawa zazieleni się, mój syn będzie miał już czternaście lat.

Moja nowa powieść jest tuż-tuż: gromadzę w domu czysty papier, cierpliwość, czas, ironię, miłość, przeistaczam się w nasłuchiwanie. Bódcem do pisania może okazać się jakiś drobiazg albo wszystko na świecie, nie wiem.

Nowa epoka jest jak nowa powieść. Trzeba mieć odwagę ją zacząć.

(przełożyła Lidia Stefanowska)

## PRAWDZIWA HISTORIA PEWNEJ EUROPY

Jako mimowolnemu uczestnikowi projektu (dalej - Projektu), na temat którego ostatnio rozpowszechnia się tyle sprzecznych, bezwstydných, a czasem wręcz absurdalnych informacji, nie pozostaje mi dziś już nic innego, prócz zdecydowanego i - mam nadzieję - ostatecznego sprostowania tej informacji.

Nie zamierzam przy tym w żadnym razie operować tu obrzydłymi i raczej spekulatywnymi pojęciami, takimi jak „prawda“, „cnota“ czy „obowiązek“. Jedyńm powodem niechaj będzie mój paskudny charakter oraz chorobliwa skłonność do nadmiernego uszczegółowiania.

Zacnę od początku, od tego atlantyckiego czerwcowego wieczoru, kiedy większość z nas, wesołych i żądnych sławy, przybyłych właśnie do portugalskiej stolicy dziesiątkami samolotów i statków, zgromadziła się przed wejściem głównym do hotelu Alfa Lisboa w nieco podekscytowanym nastroju oczekiwania na Rosjan, tak powszechnie lubianych. Właśnie przed chwilą ktoś głośno oznajmił, że mają lada chwila nadejść, ktoś inny jeszcze głośnieji zaproponował, by wyruszyć im na spotkanie, cały tłum z aplauzem przyjął pomysł i niebawem wysypaliśmy się z hotelu na lśniąca w zachodzącym słońcu awenidę, zonglując słowami i wyrażeniami uproszczonej angielszczyzny, udając wzajemną sympatię i zainteresowanie, wyrażając głośne zdziwienie niezwyklejmi lizbońskimi drzewami (jak one się nazywają?!)

O kwiatach podobnych do fioletowych ptasich ogonów.

Nagle ujrzełiśmy ich: maszerowali od najbliższej stacji metra, w dół, ludną awenidą, tak, prawdziwi Rosjanie, mężczyźni w tołstojówkach, sołowjówkach i stalinkach, kobiety w sarafanach, ktoś z werwą grał na harmoszcze, ktoś inny tańczył i robił prysiudy. Prawdziwą ozdobą delegacji był jednak niedźwiedź - wspaniały tresowany niedźwiedź, prowadzony na łańcuchu przez któregoś z najbardziej utytułowanych pisarzy. Dopiero wówczas wszystko się zaczęło.

Co tu kryć, wszyscy ucieszyli się niesamowicie z pojawienia się Rosjan, najbardziej jednak pewien starszy pan, mieszkaniec powstałego lub zlikwidowanego podczas ii wojny światowej państwa środkowoeuropejskiego, przewodniczący Międzynarodowego Kongresu Surrealistów, jak sam się przedstawiał. Podczas gdy niedźwiedź przy dźwiękach harmoszki ku naszej uciezce tańczył kamarinskogo i wszyscyśmy nieco histerycznie klaskali do taktu spoconymi od lizbońskiej wilgoci dłońmi, dobrodziej Surrealista raz po raz wykrzykiwał: Jaka kultura! Jaka wspaniała humanistyczna pasjonarność!“. Ten rówieśnik Andre Bretona niedawno skończył sto cztery lata; od pierwszego dnia wszyscy mieliśmy pewność, że nie dożyje końca podróży.

Tak więc o podróży. Przede wszystkim chciałbym przedstawić kilka najważniejszych faktów z nią związanych.

Podróżujących pisarzy w rzeczywistości było nie stu i nawet nie stu siedmiu, a co najmniej kilka tysięcy. Za pisarza uznawano bowiem każdego, kto tylko zechciał zań być uważany i kto odpowiedział na tęskne berlińskie wezwanie. Stopniowo przeobrażało się to w prawdziwą katastrofę organizacyjną - wszelkie kryteria doboru traciły sens. W rzeczywistości więc w drogę ruszył nie jeden, a kilkadziesiąt pociągów. A propos, właśnie dlatego z różnych krajów nadchodziły tak różne, nieraz sprzeczne opisy owego ekspresu. Sprofanowane detale

dotyczące kolei przeplatały się w nich w dziwaczny sposób z równie sprofanowanymi poetyckimi cytatami, ciężka, niewdzięczna praca maszynowni, sadza, pył i demoniczne zgrzytanie hamulców, rozpoznawalne niezawodnie w każdym gromkim i nieodpowiedzialnym oświadczeniu o raz na zawsze zjednoczonej Europie.

Oficjalnie jednak przyznawano, że jest tylko jeden ekspres. Dalej zobaczymy (a raczej nie zobaczymy), po co to wszystko było potrzebne. Ten nadmiar uczestników wymagał radykalnych zmian w trasie i rozkładzie. Stąd, oprócz oficjalnej trasy z ustalonymi zawczasu postojami i hucznymi przyjęciami w rezydencjach możliwych tego świata, istniała ogromna ilość odgałęzień; dosłownie na całą Europę narzucono sieć przemieszczeń pisarzy, niektóre z tych pociągów nie powróciły do dziś, zagubione gdzieś pomiędzy górskimi stacyjkami w Karpatach Wschodnich albo na naddunajskim równinnym pustkowiu. Rzeczywiście, niezwykle trudno było sytuację tę kontrolować; od pierwszych dni przybyły skład i bez tego podzielił się na wszystkie możliwe sposoby wskutek niezliczonych wewnętrznych intryg i nieporozumień językowych, i zaczął się taki rozgardiasz, że Kierownictwo Projektu zupełnie słusznie machnęło na wszystko ręką i pozostawiło ekspres (a ściślej - wiele ekspresów) własnemu losowi. Od czasu do czasu mass media różnych (dość oddalonych od siebie) krajów entuzjastycznie powiadały o przybyciu ekspresu właśnie do nich. Porównując gazety europejskie z tego czasu, uważny obserwator na pewno dostrzeże, że tego samego dnia ten sam pociąg, wypakowany po same brzegi pisarzami, rzekomo witano nie tylko w Barcelonie, ale i na przykład w Marsylii, Odessie oraz Czeskich Budziejowicach.

Przebieg Projektu znacznie skomplikowała odważna i zuchwała akcja terrorystyczna Konfederacji Wyzwolenia Górskich Narodów Świata: jeszcze na granicy hiszpańsko-francuskiej wzięto jako zakładników znaczną część wędrowców (o, pamiętam, pamiętam owo przebudzenie, ten wiatr, te straszne podmuchy mistralu, tę beznadziejną kolejkę pisarzy do wagonu bagażowego na wąziutkim peronie na stacji Irun; pamiętam pojawienie się jak spod ziemi dwu facetów z obrzynami ukrytymi pod odzieniem, pamiętani, jak jeden z nich krzyczał coś w nikomu nieznanym gardłowym języku; pamiętam też wzburzone fale Zatoki Biskajskiej - z okna wagonu, tylko przez chwilę - choć to nie dotyczy sprawy).

Wedle ostatnich obliczeń ślady zakładników gubią się gdzieś w Albanii czy na Kaukazie, choć rosyjskie dowództwo stanowczo obiecuje odnalezienie tam następnej zimy co najmniej ich szkieletów (a jeśli dopisze szczęście, to może i głów) w jednej z granitowych jaskiń w pobliżu czeczeńsko-gruzińskiej przezroczystej granicy.

Kierownictwo Projektu, usiłując za wszelką cenę uniknąć rozgłosu i skandalu, trzymało to wszystko w tajemnicy, o porwanych przez terrorystów kolegach nigdzie nie wspomniano ani słowem, co więcej, podróżowali oni jakoby wraz z nami i nawet występowali przed publicznością ze swymi utworami. W rzeczywistości byli to inni pisarze - ci, którzy ocalili i na żądanie Kierownictwa (w warunkach kontraktu przewidziano posłuszne wykonywanie wszystkich poleceń Kierownictwa) mieli udawać swoich zaginionych bez wieści kolegów. Strategia zastosowana w obliczu zmian okazała się wulgarnie mechani-styczna - zapewne rozbastwionej przez nieróbstwo zgrai uczestników najłatwiej było wybrać na zastępcę pierwszego lepszego z sąsiadującego w porządku alfabetycznym

kraju. Pozostałe problemy - imitacja zachowania, wyglądu i języka - leżały w gestii samego zastępcy, a niech sobie radzi jak potrafi. Tak więc, o ile obywatele Armenii mogli jeszcze od biedy udawać Azerbejdżan czy Albańczyków, nordyccy z grubsza Estończycy - Duńczyków i Finów zarazem, Polacy - Portugalczyków dzięki ogromnej ilości szeleszczących dźwięków w

obydwu tych językach, a Luksemburczyk mógł bez wielkiego trudu uchodzić za obywatela Lichtensteinu, o tyle sytuacja nieszczęsnych Turków była nie do pozazdroszczenia, bo musieli czasem udawać Ukraińców, czyli pojawiać się niemal zawsze i wszędzie w stanie wskazującym na spożycie, nieustannie żuć słoninę i cytować z pamięci antyislamskie kwestie z ukraińskiego klasyka i proroka Szewczenki.

Ciekawe, że wyznaczeni na zastępców autorzy przystąpili do swej misji z wielką ofiarnością, próbując pośpiesznie opanować język uprowadzon/ego/ej kolegi/ koleżanki, by godnie go/ją zastąpić. Jednakże już wkrótce wszystkich śmiertelnie to znużyło; mieli tak dosyć, że zastępcy zaczęli pleść co im ślina na język przyniesie, wymyślając ad hoc, lub nawet odkrywając, jakieś niespodziewane, głębokie a piękne słowa i zwroty.

Tak powstawały nasze wewnętrzne, tajne i zamknięte języki: rozumienie treści i tak nie należało do priorytetów projektu, chodziło przede wszystkim o muzykę, o oddech, o rytm, o brzmienie. Właśnie dzięki tym nieskomplikowanym chwytom głupekowate mass media niejednokrotnie miały okazję do wyrażania zachwyty językową różnorodnością Europy i ulubionym, powtarzanym przez wszystkich mitem o dziewięćdziesięciu ośmiu językach obecnych w naszym pociągu, tej „ruchomej wieży Babel”.

Znacznie trudniejsza okazała się kwestia znalezienia zastępstwa nie tyle pod względem narodowości, ile płci. Rzecz w tym, że wśród uprowadzonych przez terrorystów, jak też zmiecionych przez inne okoliczności podróży, najwięcej było właśnie uczestniczek, a nie uczestników; w dodatku odsetek kobiet od samego początku Projektu nie był zbyt wysoki. Dlatego deficyt pisarek początkowo postanowiono zmniejszyć / pomocą autorów transwestytów, ale mimo że pracowali pełną parą, ich sił nie wystarczało na zaspokojenie popytu. Dlatego Kierownictwo, odwołując się do naszych sumień i pewnych punktów kontraktu, zmusiło nas, mężczyzn, do - jak to sformułowano - „bycia bardziej otwartymi i aktywnymi w imię osiągnięcia wspólnego celu”. Pamiętam, że gdzieś w Dortmundzie czy w pobliżu, w jakimś tradycyjnie zapyziałym proletariackim (czy też drobno-mieszczańskim) Katzwinkelu, przyszło mi dość niezgrabnie udawać Walentynę Sołowjową; pokonując gwałtowną wewnętrzną odrazę i odruchy wymiotne, musiałem podarować gościnnym prorosyjskim gospodarzom egzemplarz wspaniale wydanego Domostroju - książki, której głęboko nienawidzę ze względu na moje skrajnie feministyczne poglądy. Pamiętam też, jak wielu spośród moich kolegów płci męskiej odkryło, że ten wymuszony przez okoliczności teatr z nieustannym przebieraniem sprawia im przyjemność; jak w hotelach bez pukania jeden zachodził do drugiego, płosząc przyjaciół przymierzających pończochy, wyszczypujących brwi i doklejających rzęsy; jak zaczęliśmy po kryjomu przekraczać granice rozszczepionego na pół istnienia, poznawać tajemnice kobiecego świata, odważnie zapuszczając się w odurzające sekrety bielizny kobiecej. Pamiętam pewnego słoweńskiego geniusza o niemożliwie szerokim uśmiechu i jego radość z udanego zakupu na wyprzedaży w paryskim Les Halles bardzo ryzykownych koronkowych majteczek. Pamiętam, jak niektórzy (szczerze mówiąc, prawie wszyscy) zaczęli śledzić nowinki kosmetyczne, wyszukując je w odpowiednich, błyszczących złudnie pismach, interesować się podpaskami oraz prawidłami cyklu miesięczkowego.

Tak, to było to, wielkie wyzwanie, to, co w Ameryce nazywają cchallenge, ale właśnie to trzymało nas razem, zbliżało i zmieniało. Innym czynnikiem jednoczącym była trawka. Palili ją prawie wszyscy, pamiętając o szczególnych demiurgicznych własnościach tego najłatwiejszego sposobu wniknięcia w inne. Można przypuszczać, że całe plantacje poszły z dymem podczas naszej podróży. Spustoszyliśmy nie tylko Pakistan, Afganistan i Dolinę



Czujską u podnóża Ałtaju; nawet w okolicach Jeziora Bodeńskiego zebraliśmy bogate żniwo. Lekkość, niezwykła lekkość panowała wokół. Nasze wagony wypełnione były lekkością, nasze walizy unosiły się niczym latawce na wietrze, szaloną wesołość wzbudzało ostre hamowanie pociągu, który i bez naszej pomocy mylił stacje i tory, czasem przeistaczając się w aeroplan, czasem w wypako-wanego po brzegi zamrożonym drobiem TIR-a, innym razem stając się żółtym cygarem okrętu podwodnego. Nic zatem dziwnego, że na każdym z postojów gubiła się gdzieś kolejna grupa naszych zdezorientowanych kolegów; przyczyną mógł być nawet taki drobiazg, jak zmiana strefy czasowej i niezgodność zegarów na stacjach kolejowych z ich zegarkami. Wiadomo na pewno, że część z nas do tej pory błąka się gdzieś między Zatoką Biskajską a lewym brzegiem Odry, w żaden sposób nie mogąc wydostać się ze strefy Unii. Nie mówiąc już o bagażu, o wiecznych pomyłkach, o nieoczekiwanych zamianach! Jak cudownie było znajdować we własnym pokoju zupełnie nieznaną rzecz, pieczołowicie dostarczoną przez obsługę hotelową! To wniknięcie wewnątrz, to rozpakowywanie cudzego samo w sobie, stało się nie mniej wciągającą przygodą aniżeli ta, w którą rzuciło nas Kierownictwo. Znienacka zaczynałeś pojmować, że właśnie te przedmioty, mikrofilmy, ampułki, dyktafony wielkości znaczka, pluskwy, mają jakiś niezwykły sens, że podrzucano je akurat tobie naprawdę nie przez pomyłkę, że tego właśnie wymaga fabuła powieści nie wiadomo przez kogo pisanej. Poza tym skąd twoje przekonanie, że trafiałeś do własnego pokoju?

A propos, począwszy jeszcze od Lizbony, starałem się zapamiętywać numery swoich pokojów, podejrzewając, że wszystko to potem ułoży się w jakiś szczególny znak. Później, kiedy zebrało się tego za wiele i trzeba było oczyścić niektóre zaśmiecone fragmenty pamięci, oddałem te liczby na pastwę notesu. I oto, co z tego wynika: Lizbona - 614, Madryt - 502, Bordeaux - 407, Paryż - 311, Lilie (uwaga! zapomniałem numeru! dlaczego zapomniałem właśnie tego, właśnie Lilie?), Bruksela - 42 (nowy wymiar), Dortmund - 708 (ach, znowu to zero w środku!), Hanower - 215, Malbork - 4 (unikalne, to więcej się nie zdarzy), Kaliningrad - 620, Wilno - 1605 (coraz wyżej!), Ryga - 215 (kiepska podróbka Hanoweru), Tallin - 220 (całkiem blisko Rygi), Sankt Petersburg - 2125 (jakieś kafkowskie planowanie przestrzeni, z jednego pokoju do drugiego na tym samym piętrze szedłem czterdzieści trzy minuty!), Moskwa 8-126 (nie obeszło się bez słowiańskiej samoistności), Mińsk - 1906 (rok zapewne z jakiegoś powodu ważny dla białoruskiej historii), Warszawa - 111 (ideał polsko-ukraińskich stosunków), Berlin - 308 (umyślnie bez wyrazu, gdyby nie kolejne zero w środku).

Maluję więc te numery na skórzanych kwadracikach, jest ich równo siedem tysięcy, pokonaliśmy przecież siedem tysięcy kilometrów, przemieszczam te kwadraty, robię z nich zjednoczoną Europę, a potem z zamkniętymi oczyma wyciągam po kolei różne dziwne pomieszane krajobrazy z wiatrakami, wieżami, fioletowymi drzewami, białymi nocami i pomyłonymi torami...

Mniej więcej w połowie drogi kolejne stado zbłąkanych owieczek, a lepiej by rzec - baranów, zamiast w Wiedniu, gdzie oczekiwano nas z wykwintnym, po ne-krofilsku wspaniałym przyjęciem, wydanym w imieniu świętej pamięci arcyksięcia, znalazło się w Wenecji czy też w jakimś innym mieście z brudnymi kanałami i fajerwerkami (jak niektórzy z nich opowiadali później). Wśród zbłąkanych nie zabrakło i osławionego Surreali-sty (104 lata, rówieśnik Tristana Tzary). Jego śmierci spodziewano się jeszcze w Paryżu, krążyły wśród nas nawet pogłoski o świeżo wykopanym grobie na Montpar-nasse, z jakiegoś powodu nie skorzystał jednak z okazji; nadal więc od czasu do czasu wykrzykiwał po różnych miastach swoje Jaka kultura! Jaka niezwykła humanistyczna pasjonarnośćT', i przeżył nawet Wenecję (przypuśćmy, że to jednak była Wenecja). Jeśli się nie mylę, ten bliźniak Cocteau niebawem

jakimś cudem dogonił główny skład pociągu i znowu wynurzył się na niezapomniane wystawne przyjęcie, wydanym przez generalnego gubernatora Prus Wschodnich w historycznych stajniach legendarnej 28. dywizji kawalerii; przyjęcie wryło się w pamięć dzięki niesamowitej ilości potraw z mrożonej ryby oraz pawiovi puszczonego przez jedną z najbardziej utalentowanych uczestniczek Projektu.

Zdaje się, że już gdzieś w pobliżu Kronsztadu zaczęła się strefa jawnej hotelowej prostytucji, tej nieodłącznej towarzyszącej strefy wpływów mafii. Tak, bo właśnie od Kronsztadu wreszcie zaczął się Wschód, ta druga półkula Europy, o czym świetnie pamiętali jeszcze Krzyżacy w swym naiwnym cywilizacyjnym porywie. Czasem jednak powstawało wrażenie, że te stadka ogromnych malowanych motyli, obok których nie udaje ci się prześliznąć niepostrzeżenie wąskim korytarzem hotelowym, w rzeczywistości też zawdzięczamy Kierownictwu. Wszystkie bez wyjątku dziewczynki były podejrzanie dobrze zorientowane w twórczości swych przygodnych klientów, wywołując przyspieszoną spazmatyczną ejakulację z pomocą nieoczekiwanego i namiętnego cytowania ich utworów w pierwszym dogodnym momencie. Ogólnie warto zauważyć, że petersburskie ladacznice znacznie lepiej orientowały się w literackich prądach i tendencjach ostatnich dziesięcioleci niż ich koleżanki z innych miast - dała się we znaki tradycja, szkoła, magia miejsca.

Ogółem wszyscy byli zgodni, że Zachód to Zachód, a Wschód to Wschód, i że nigdy się one nie spotkają, to oczywiste, jak oczywista jest łacinka i cyrylica; nikogo i przenigdy tu oni nie zeuropeizują, ci wstrętnei zbrodniecy Krzyżacy, i dobrze, że tak jest. Wszyscy też byli z tego zadowoleni. Zachodni koledzy - bo wreszcie trafiali do wymarzonych mistycznych krajów, mogli więc do woli fotografować zebraków, kobieciny w chustkach, brudne dzieci, bezdomne zwierzęta i milicjantów. Szczególną radość sprawiła im orkiestra złożona z samych bałabajek, z werwą grająca Katuszę nad grobem Kanta.

Wschodni koledzy też dostali należną im część: nigdzie nie wychodzili ze swoich hoteli, uśmierając chroniczny duchowy Weltschmerz w oparach gorzałki.

Początkowo nikt nie nadawał jakiegoś szczególnego znaczenia śmierci Surrealisty, która mimo wszystko nastąpiła gdzieś między Petersburgiem a Moskwą. W tym momencie w Projekcie brakowało już kilku kolejnych nieszczęśliwców, przypadkowo zastrzelonych przez mafię, a może przez straż graniczną. Pamiętam, że ciało jednego z nas, straszne i posiniałe nie do poznania, znaleziono na którejś z bezludnych nadbałtyckich plaż czy to w Liwonii czy może w Liflandii, a może nawet w Kurlandii. Oplecione zgniłymi wodorostami i nienaturalnie skurczone, faktycznie niczym już nie przypominało ciała byłego laureata kilku prestiżowych nagród literackich i jedynie kurczowo ściśnięta pod pachą granatowa torba z napisem Maire de Bordeaux nie pozostawiała żadnych wątpliwości. W torbie znaleziono piasek, muszle, trochę przypadkowego bursztynu, jedną meduzę oraz jeden rozmiękły zupełnie banknot pięćdziesięci dolarowy - to wszystko, co zostało z pieniędzy wypłaconych jeszcze w Dortmundzie per diem.

Tak, nasze straty były ogromne. Było nas kilka tysięcy na początku, do Berlina zaś dojechała zaledwie setka, a i to mało powiedziane, że dojechała!

O tym jednak nieco później, nie uprzedzajmy faktów. Chciałbym jedynie przestrzec przed nadmiernym zaufaniem do wszelkich mass mediów oraz innych spryciarzy, którzy na naszych trupach robili własną światową karierę.

Wracając do rzeczy, gdzieś między Petersburgiem a Moskwą nie doliczyliśmy się także dobrodzieja Surre-alisty - podczas wystąpienia upadł na granitowe płyty i złowieszczo zacharzał, nawet nie doczytawszy publiczności swego ulubionego wiersza o rozrzedzonych zegarkach i przeczuciu wojny domowej. Stało się to pod kolejnym pomnikiem Puszkina, w powiatowym miasteczku rosyjskim gdzieś między Petersburgiem a Moskwą, gdzie przewodniczący Rady Miejskiej podejmował nas poprzedniego dnia kwasem chlebowym i pasztetem zajęczym, zaś orkiestra dęta miejscowej Federacyjnej Służby Bezpieczeństwa wykonała dla nas walce z czasów podbicia Kaukazu. Pamiętam pewną Szwedkę czy też Norweżkę, tańczącą w zachwyceniu walca z tresowanym rosyjskim niedźwiedziem! Ale nie w tym rzecz. Rzecz w nagłej śmierci.

Zdaje się, że to wydarzenie nie było zaskoczeniem dla Kierownictwa Projektu: ciało Surrealisty natychmiast złożono w przywiezionej nie wiadomo skąd specjalnie na tę okazję trumnie, niezwykle okazałej, jakby w stylu empire. Od tej pory ciało podróżowało wraz z nami w osobnym wagonie; to był najbardziej luksusowy wagon - jeździli nim niegdyś wyłącznie enerdowscy bonzowie na czele z Honeckerem. I było to niczym pożegnanie z konającym stuleciem, ciągnęliśmy za sobą jego doczesne szczątki, wszystkie jego najwyższe porwy i olśnienia, jego surrealistyczną rewolucyjną istotę, jego mylne znaki z ledwie odczuwalną aurą końca wszech czasów.

W każdym kolejnym mieście trumnę przewożono do hotelu wraz z całym bagażem (by się nie czuł samotnie - dziwacznie żartowało Kierownictwo), a uczestnicy, zmieniając się co godzinę, pełnili przy nim honorową wartę. Potem trumnę znowu ładowano do pociągu, kilka razy przewracała się, z powodu nieostrożnego obchodzenia się z nią przez pijanych tragarzy, ale na szczęście się nie rozwaliała.

Na szczęście? A niechby rozwaliała się wówczas, nie dojechawszy do Berlina! Przecież to właśnie ona, ta przekłeta trumna, przyczyniła się do potwornego finału naszej podróży. Wyglądało na to, że Kierownictwo Projektu podjęło decyzję o uroczystym pogrzebie Surrealisty w Berlinie - zupełnie niewykluczone, że w rzeczywistości nie miał on ojczyzny, trudno więc było znaleźć lepsze miejsce od piwnic odrestaurowanego Reichstagu. Jednakże, jak się okazało, od samego początku trumna podróżowała bez ciała. Gdzie są naprawdę doczesne szczątki nieszczęsnego rówieśnika Eluarda i Aragona, nie powie nam nikt, z wyjątkiem być może jednego czy dwu uczestników, ci jednak milczą.

Milczą, bo wiedzą, czym się może dla nich skończyć kłapanie paszczą. W rzeczywistości trumnę, jak i śmierć Surrealisty wykorzystano do przewiezienia do Berlina ogromnej partii narkotyków. Oto dlaczego potrzebna była dla nie takiego znowu znakomitego - wydać by się mogło - ciała tak wspaniała, ogromna, elegancka trumna, w której - między nami mówiąc - zmieściłoby się z ośmiu podobnych surrealistów! Prawdziwy sarkofag, a nie trumna, co muszę podkreślić.

Niewątpliwie taka niesamowicie nieumiarkowana partia towaru musiałaby spowodować łańcuchowy szok na rynku narkotyków i w jego najbliższych okolicach - dlatego przemieszczanie się trumny w kierunku Berlina uważnie obserwowano jednocześnie kilka syndykatów. Informację o towarze przechwycono zapewne przez Internet. Wszyscy wiedzą przecież, że Kierownictwo zmuszało nas do prowadzenia podczas podróży tak zwanych „dzienników“ - spisywania różnych niezobowiązujących wrażeń i pseudofilozoficznych rozmyślań skłonnych do próżniaczego biesiadowania autorów, które od razu były umieszczane w Internecie, tak żeby cały świat mógł się dowiedzieć o higienicznych

problemach pani X albo objawach przepicia pana Z. W rzeczywistości stronę [www.literaturekspress.org](http://www.literaturekspress.org) wykorzystywano do znacznie poważniejszych celów - rozumieją mnie ci, którzy potrafią czytać między wersami szyfrogramów.

Mniej więcej między Mińskiem a Warszawą na [www.literaturekspress.org](http://www.literaturekspress.org) pojawił się zapis niejakiego Andruchowycza, który zapewne był sygnałem dla bossów jednego z najpotężniejszych międzynarodowych narkogangów. Jego zapis wyglądał tak: Der Literatur-expressionismus kommt an. Was wird mit dir gescheken, Berlin? Co należało rozumieć mniej więcej tak: „Pogłoski potwierdzam: towar, przeznaczony na berliński festiwal poezji, ruszył w drogę i znajduje się w trumnie Surreali-sty. Oddany Warn“ - dalej był podpis wspomnianego już Andruchowycza w kilku transkrypcjach europejskich.

Nie mogę stwierdzić, by idea zlikwidowania naszego pociągu została podjęta od razu. Na zwołanej w trybie nagłym konferencji w sławetnym hotelu Ritz - gdzieś czy to na Malcie, czy może raczej na Majorce - prezesi czołowych koncernów postanowili zrobić wszystko, co tylko możliwe, by przechwycić trumnę jeszcze przed Berlinem. Gdyby się to z jakichś nieprzewidzianych przyczyn nie udało, zdecydowano, by zneutralizować trumnę i nie dopuścić do wprowadzenia na rynek konkurencyjnej niekontrolowanej partii towaru, co pociągnęłoby za sobą dramatyczny spadek cen oraz inne, niezupełnie drobne nieprzyjemności.

Wracam więc znowu do tego dnia - nie, nie tego lizbońskiego dnia początku, kiedy wszyscy w radosnych nastrojach wysypaliśmy się z hotelowego foyer na hałaśliwą wieczorną awenidę, a do ostatniego dnia, dnia końca, kiedy znowu przekroczyliśmy granicę na Odrze. Nagle gdzieś między Erkner i Rahnsdorfem, a ściślej - między Wuhlheide i Ostkreuz - jak zawsze przepełnieni lekkością i dziwną zachłanną wesołością, usłyszeliśmy potworny apokaliptyczny hurkot, po którym nastąpił potężny wstrząs i gwałtowne szarpnięcie. Rzuciło nami tak, jakby pociąg oderwał się od szyn i poleciał w nieznaną, ale nie, on niczym prawdziwy Niemiec trzymał się na kołach i nadal pędził do przodu (wciąż jeszcze było nam wesoło), nie zatrzymując się ani na Ostbahnhof, ani później na Jannowitzbrücke, Alexanderplatz, czy potem na Hacke-scher Markt. Jakby wiedział, że oczekują nań na Frie-drichstrasse, więc nie zatrzymując się, pędził właśnie na tę stację, mknął dalej, ten nasz żelazny ranny żołnierz.

W ciągu kilku zaledwie sekund po wszystkich wagonach rozszedł się swąd, zewsząd walił różnokolorowy dym, wciąż jeszcze śmialiśmy się, ale coraz bardziej przez łyzy, kasłaliśmy i słabiliśmy, słabiliśmy i kasłali, a któraś z południowych pisarek zaczęła rodzić...

Można przypuścić tylko jedno: w nasz ruchomy pociąg trafiła rakietka - z morza, z powietrza czy lądu?, nie ma znaczenia, skąd - automatyczny system naprowadzania głowicy zadziałał bezbłędnie, celny strzał fachowców, rakietka zapalająca uderzyła prosto w trumnę, która momentalnie przemieniła się w słup ognia, a następnie w popiół, niczym w drogim krematorium pierwszej klasy, potem wszystko wokół zaczęło się palić i topić wskutek samozapłonu...

Końcowe kadry naszej podróży można było oglądać jeszcze tego samego wieczoru kilkakrotnie w wydaniach wiadomości alternatywnych i nielegalnych kanałów telewizyjnych: płonący Goerlitz wjeżdża na wypełnioną entuzjazmem oczekujących stację Berlin-Friedrichstrasse, ostro i z trudem hamuje, z wagonów jeszcze w biegu wyskakują osmaleni pisarze i czasem pisarki, panika i prze-pychanki na peronie, stopione i zdeformowane ściany wagonów z napisami „Literacki Ekspres Europa 2000“ we wszystkich językach europejskich,

wykrzywione z bezsilności twarze policjantów i strażaków, którzy nie mogą w żaden sposób przebić się przez tłum do pociągu, syreny, karetki pogotowia, stos płonących walizek i toreb, wybuchy laptopów, petard, pomarańczowych baloników, płonące książki i rękopisy; następnie obrazy nabierają bardziej optymistycznych barw: uratowany niedźwiedź ssie poparzoną łapę, osmalony i wąsaty, ale szczęśliwy strażak z nowo narodzonym chłopczykiem na ręku, pokryte sadzą i łzami twarze ocalałych, uściski, pocałunki, oparzenia, oparzenia pocałunków i pocałunki oparzeń, krzątanie dziennikarzy, funkcjonariuszy, muzyków z big-bandu, w ostatnich kadrach - strumień piany gaśniczej, piana wylewa się z ekranu na wszystkie strony, wypełnia sobą wszystko, całą przestrzeń ekranu, jest podobna do... Do czego jest podobna piana, jak nie do siebie samej?

Cała reszta to nic innego jak fikcja, sny niezmiernie długiej letniej nocy, Europa 2000...

(przełożyła Ola Hnatiuk)

## SHEVCHENKO IS OK

### Charyzma

Hagiografia Tarasa Szewczenki dla większości Ukraińców zaczyna się od jego podróży na koniec świata w dzieciństwie. Tę przygodę nauczyciele uwypuklają najczęściej już w pierwszych klasach szkoły podstawowej: pewnego letniego dnia sześciolatek chłopiec, nikomu nic nie mówiąc, wyrusza z domu na spotkanie horyzontu - tam, gdzie, jak mu się zdaje, niebo schodzi się z ziemią, a świat się kończy.

Równinny, stepowy krajobraz kusi otwartą przestrzenią. Wszystko wydaje się osiągalne, nawet najbardziej oddalona smuga na widnokręgu. Pierwszego dnia chłopiec zmuszony był wrócić, nie osiągnąwszy celu: koniec świata pozostawał zbyt daleko, na ziemi zapadał wieczór i wędrowiec zdecydował, że za późno wyruszył. Taka odległość wymaga więcej czasu, pomyślał przezornie i cichcem wrócił do domu. Następnego ranka wyruszył przed świtem, żeby przed zmierzchem zdążyć dojść na koniec świata i - jeśli się da - wrócić. Poranną rosę, zapachy stepowej roślinności i brzask stopniowo rozświetlający niebo każdy z nas może dodać w wyobraźni.

Pokonawszy cztery wiorsty, chłopiec znalazł się w sąsiedniej wsi, jakiejś Pedyniwce. Był to szok - okazało się, że na świecie jest jeszcze jedna wieś, gdzie mieszkają ludzie, których nigdy nie widział. Świat zaczynał się rozrastać. A jeśli okaże się, że takich wsi na tym świecie jest nie dwie, a trzy, dziesięć, dziesięć tysięcy?...

Koniec świata uciekał poza granicę osiągalnego. Ziemia po prostu rosła w oczach, spłoszone ptaki stepowe pierzchały mu spod nóg, lasy pełne były rozumnej zwierzyny, w rzekach rozmawiały ryby. Całkiem rozbitego i zmęczonego odwieźli w nocy do domu czumacy, ci stepowi przewoźnicy soli, a zarazem - łącznicy ukraińskiej przestrzeni. Starsza siostra - matka nie było wówczas już na tym świecie - nie pozwoliła bratu go ukarać, na siłę nakarmiła (małemu oczy się kleiły, a głowa opadała), wreszcie ułożyła do snu ze słowami „Śpij, przybłądo“...

Ze wszystkich znanych mi biograficznych źródeł ten przypadek opisano tylko w jednym, zapewne więc nigdy już nie będzie on poddany sceptycznej weryfikacji. Znamię wybrańca, jakkolwiek pretensjonalnie wygląda w naszej tak pełnej przeciwieństw epoce, daje o sobie znać władczo i natrętnie. Przekazy, anegdoty, legendy, wersje, pogłoski - wszystko to otacza. Szewczenkę, przez całe życie towarzyszy mu niezwykła, czasem drażniąca atmosfera. On wprost zmusza do mówienia o nim - od dzieciństwa aż do samej śmierci. Przy tym bynajmniej nie zajmuje się własną publicytnością, wszystko jakby samo się działo. Status społeczny też niczego w zasadniczy sposób nie zmienia: mówi się o nim, kiedy jest tylko kozaczkiem na służbie, własnością brutalnego dziedzica, i podczas legendarnego petersburskiego wykupienia z niewoli, i w trakcie burzliwych prezentacji jego strasznie modnej poezji w najbardziej wytwornych salonach ówczesnej Ukrainy, a nawet podczas dalekiego azjatyckiego zesłania, kiedy - wydawać by się mogło - najwyższym monarszym zakazem pisania i malowania raz na zawsze położono kres nieuzasadnionym pretensjom do wieczności okropnego parweniusza-Małorusina.

Mówiono o nim, że to podrzucony prostym chłopom potomek wielkoksiążęcego rodu. Że potrafi wydudzić pół baryłki gorzałki i nawet mu w głowie nie zaszumi. Że

żyje ze swym petersburskim nauczycielem Karolem Briułowem jak z kochankiem. Że zamierza stanąć na czele ukraińsko-polskiego powstania na Prawobrzeżnej Ukrainie. Że na największe przyjęcia przyprowadza ze sobą całą zgraję włóczęgów, zbiegłych katorżników i brudnych, zawszonych muzykantów, którzy przygrywają mu do tańca. Że wszystkie zarobione na swoich obrazach pieniądze rozdaje wędrownym dziadom. Że tak naprawdę jest upiorem, i stąd tak wiele krwi w jego poematach.

Wszystkie te wersje - bardziej lub mniej odbiegające od prawdy - rodziły się nieustannie. Był tematem. Rozmowy o nim toczyły się przy grze w karty, podczas proszonych herbatek, przy zawieraniu znajomości, w trakcie wizyt, w księgarniach, teatrach, pod cerkwią, na balach zapustnych i wielkanocnych. Dość często pojawiał się zarówno w prywatnej jak i służbowej korespondencji - i trwało to jeszcze długie dziesięciolecia po jego śmierci.

Ukazanie się w 1840 roku w Petersburgu niewielkiego - składającego się z ośmiu utworów - tomiku Kobzarz spowodowało ogromny wybuch uczuć w wielu środowiskach czytelniczych. Na Ukrainie publiczne deklamowanie Kob-zarza na wszelkich mieszczańsko-szlachecko-starokozackich zgromadzeniach wywołuje wybuchy rzewnego płaczu ze wzruszenia. To była epoka (później z jakiegoś powodu nazwana romantyczną), kiedy płakali wszyscy, szlochali, nie kryjąc się z tym, a wręcz delektując płaczem, głośno; chusteczki były niezwykle ważnym atrybutem każdej mniej czy bardziej wysublimowanej osobowości, oczy zaczynały same z siebie błyszczeć i łzawić już po pierwszych wersach, płacz nad dziełem sztuki uważano za jego najwyższą ocenę. Płacz towarzyszy Szewczence zawsze i wszędzie - płaczą panienki i panice na dobrosąsiedzkich prowincjonalnych podwieczorkach, płaczą niedożywieni studenci i uczniowie malarzy w Petersburgu, Kijowie i Wilnie, płaczą żandarmi, oficerowie carskiej armii i polscy patrioci - konspiratorzy, płacze rosyjski aktor Michał Szczepkin, płacze amerykański Murzyn Ira Aldridge, płacze sam Szewczenko, recytując własną, powiedzmy, Katarzynę na prośbę kolejnych gospodarzy i ich gości, płaczą służące, kucharze, lokaje i masztalerze, tam, za drzwiami, zebrani w sieni i wsłuchujący się w łkanie Tarasa.

Płacz ten rozlega się i po jego aresztowaniu (wiosną 1847 roku Szewczenkę uwięziono pod zarzutem antypaństwowej działalności politycznej i utworzenia tajnego masońskiego bractwa), i podczas jego długoletniego zesłania, i - tym bardziej - później, za krawędzią śmierci. Nawet Szewczenkowskie zwisające wąsy - modelowy znak świadomości narodowej - z czasem zaczną być nazywane „płaczem Ukrainy“.

Prócz tego lubi śpiewać - i wszyscy płaczą, gdy śpiewa. Prócz tego lubi mieszać wódkę z herbata. Prócz tego jest interesującym rozmówcą, zna mnóstwo śmiesznych historii, pali cygara (prawdziwe, kubańskie). Prócz tego jest uparty i nieobliczalny, czasem aż bije z niego przerażająca energia skandalu i buntowniczności. Jest trochę niezdarny, „grubo ciosany“, niezbyt dobrze tańczy, ale wszystkich oczarowuje. W ciągu swego niezbyt długiego, czterdziestosiemioletniego życia, z którego dziesięć lat spędził na pustyni w wojsku carskim, zdobył sobie setki, jeśli nie tysiące znajomych i przyjaciół. Jego Dziennik - to setki nazwisk, cała galeria adeptów, zwolenników (i zwolenniczek), współczujących dobroczyńców i obrońców.

Druga strona tej charyzmy to patos bólu i cierpienia, ogarniający postać Szewczenki chyba od samych narodzin. Jego realne życie, każdy wybieg nieznośnie nasyconego i okrutnego losu od razu staje się przedmiotem szczególnej rewerencji. Od samego początku wybraniec poddawany jest próbom: narodziny w potwornie biednej, do tego pańszczyźnianej rodzinie chłopskiej; śmierć rodziców - najpierw matki, potem ojca, a więc nie tylko głodne, chłodne i

w niewoli, ale i sieroce dzieciństwo; całkowite osobiste uzależnienie od dziedzica (a trwa to pół życia - aż do dwudziestego c/wartego roku, kiedy grupa petersburskich intelektualistów znajduje możliwość wykupienia go za ogromną sumę!); wspomniane już aresztowanie i śledztwo, więzienie i przesłuchania w katowni Pietropawłowskiej twierdzy; zesłanie - na dwadzieścia pięć lat jako szeregowca - w najbardziej oddalone wschodnie kresy imperium, czemu towarzyszył - warto powtórzyć - zakaz pisania i malowania; w końcu także fizyczny ból i choroby, które całkiem nim zawładnęły po, wydawałoby się, cudownej amnestii i odzyskaniu wolności po dziesięciu latach zesłania. Do wielkiego świata powraca zniszczony, na pół żywy, wielu znajomych nawet go nie poznaje, a ostatnie jego marzenie - ożenić się choćby i z sio-strzycą czarta - pozostaje fantomem jakiegoś innego istnienia, na które po prostu już nie dano czasu.

Ostatni charyzmatyczny element to śmierć. Zastaje ona Szewczenkę na schodach jego petersburskiego mieszkania w murach Akademii Sztuk, nazajutrz po jego urodzinach. Wszystko, co nastąpiło potem, to narastanie psychozy pogrzebowej, Cmentarz Smoleński w Petersburgu, tłumy pogrążonych w żałobie opozycjonistów, studenci, studenci i jeszcze raz studenci, studenci i gimnazjaliści, przemówienia po ukraińsku, rosyjsku i po polsku, wieniec laurowy na martwym czole, złożenie trumny w chłodnej północnej ziemi. Ale już od pierwszych dni po jego śmierci petersburscy Ukraińcy zaczynają walczyć o prawo do przeniesienia prochów Szew-czenki na Ukrainę. Tak musi być - tak każe przede wszystkim tekst jego Testamentu, ale tak każe też jego charyzma. Administracja w końcu wyraża zgodę (jak najdalej od stolicy z tym przeklętym nieboszczykiem i jego obitą ołowiem trumną!). Mija 57 dni od pogrzebu - i trumnę wydobywają na świat, a następnie niosą ją na rękach przez całe miasto (jeszcze jedna okazja do manifestacji, grzech byłoby nie wykorzystać!), przez Wyspę Wa-silija na Newski Prospekt, około siedmiu wiorst, aż do dworca. Dalej wiozą trumnę koleją, w Moskwie następny przystanek, znowu pożegnanie, znowu tłum. A potem już tylko końmi, czarną kwadrygą, traktem pocztowym, ze wszystkimi dalszymi przystankami (Serpuchow, Tuła, Orzeł, Głuchów, Królewiec, Baturyn, Niżyn, coraz bardziej na południe) - wiosny wokół robi się coraz więcej, kwiecień przechodzi w maj. W Kijowie trumnę z cerkwi Bożego Narodzenia na Podolu na rękach przeniesiono do statku „Krzemeńczuk“ i dalej wieziono jeszcze osiem godzin w dół po Dnieprze, by wreszcie wznieść na Czer-neczą Górę, miejsce drugiego - i wiecznego - spoczynku. W ciągu całego ponad dwutygodniowego performan-ce'u wzięły w nim udział dziesiątki tysięcy ludzi. Jeszcze raz zwracam uwagę na studentów: jest ich mnóstwo, wciąż pojawiają się nowi, na pewnych odcinkach tej długiej drogi wyprzęgają konie i sami ciągną katafalk z trumną - to mieszanina średniowiecza z romantyzmem i socjalizmem - podczas każdego przystanku śpiewają psalmy, kozackie pieśni, a także rozdają obecnym radykalne odezwy; za kilka lat zaczną rzucać bomby w gubernatorów i generałów.

Żadnego świętego żadnego kościoła tak nie chowano.

Wydaje się, że tym właśnie pogrzebem zapoczątkowano rytuał sakralnego ukraińskiego przeniesienia prochów. W 1989 roku z uralskiego obozu śmierci do Kijowa przywieziono prochy obrońców praw człowieka Stusa, Łytwyny i Tycheho - by je pochować na cmentarzu Bajkowym, „główniej nekropolii Ukrainy“. W 1992 roku we Lwowie odbył się uroczysty pogrzeb kardynała Josyfa Sli-pego, którego prochy przewieziono z Watykanu. Ostatnio mówi się o konieczności symbolicznego pochówku



hetmana Mazepy, zmarłego dwieście dziewięćdziesiąt lat temu w dzisiejszej Mołdawii, w fortecy Bendery.

Tak, to rytuał, niczego nowego więc nie odkryję, gdy powiem: kiedy jest rytuał, musi być i kult.

## Kult

Gdyby spróbować oddać sens kultu Szewczenki w jednym krótkim sformułowaniu, można by uogólnić: „Szewczenko jest naszym wszystkim“. Na taką kategorię, jednoznaczność i jednobiegunowość najbardziej wpłynęli jego najbliżsi w czasie sprzymierzeńcy, ludzie kultury drugiej połowy XIX i początku XX wieku. Właśnie oni, a spośród nich Kulisz, Franko, Hruszewski, Jefremow, każdy, co prawda, na swój sposób, rozbudowali cały system wyobrażeń, zgodnie z którym wielkość Szewczenki polega na tym, że jest on poetą prawdziwie ludowym, pochodził z dołów, a osiągnął wyżyny arystokratycznego ducha, za cenę ogromnego cierpienia i ciężkich prób zdołał całemu światu opowiedzieć o losie swego narodu, a całemu swemu narodowi - o jego przeznaczeniu, jest więc duchowym ojcem narodu, jedynym, niezrównanym i niedoścignionym. Mamy przynajmniej kilka cech świętości (co prawda szczególnej: nie tradycyjnej, religijnej, a - można by rzec - świeckiej czy obywatelskiej): heroiczny życiorys, kanoniczność tekstów, Święta Góra jako miejsce wiecznego spoczynku i ciągłych pielgrzymek.

Dla kształtowania się w społeczeństwie ukraińskim kultu Szewczenki niezwykle ważne były dwie rocznice, przypadające na ten sam odcinek czasu historycznego: pięćdziesięciolecie jego śmierci (1911) i stulecie urodzin (1914). Obydwie daty obchodzono dość burzliwie i dramatycznie, wbrew więcej niż nieprzychylnemu stosunkowi administracji carskiej. (Wielki polityczny spryciarz, Lenin, natychmiast to wykorzystał i od razu skrobnął z emigracji o tym, że „zakaz obchodów szewczenkow-skich był tak cudownym, wspaniałym, szczęśliwym i udanym jak rzadko krokiem z punktu widzenia agitacji przeciwko rządowi, że lepszą agitację trudno sobie wyobrazić“. Ilu świadomych Ukraińców Lenin w taki sposób zjednał dla idei komunizmu, nie będzie już dane nikomu podliczyć, ale sądzę, że można mówić o całych dywizjach oddanych ochotników).

Jaki bądź kult może zostać wykorzystany w pewnych politycznych - czy szerzej - ideologicznych celach. Szewczenko w tym sensie nie stanowi wyjątku, lecz bardzo wyraźne, naoczne potwierdzenie takiego - najczęściej w istocie swej potwornie cynicznego - wykorzystywania. Jak każdy metatekst (postać plus teksty właściwe), jest zawsze szczerzy, bardzo sugestywny, jaskrawię wyrażony i nieuchronnie sporny. Poddaje się więc wszelkim interpretacjom i przywłaszczeniom, tym bardziej że znajomość tekstów Szewczenki w ukraińskim społeczeństwie zazwyczaj ogranicza się do kilku szkolnych, podręcznikowych szlagierów, a poeta, pomimo swej ludowości, niezbyt jest przez ten lud czytany i rozumiany.

A oto kilku z mniejszych „szewczenków“, usilnie konstruowanych (aż do dziś) wewnątrz różnych obozów ideologicznych:

Szewczenko komunistyczny. Wysuwana jest teza o pochodzeniu społecznym (uciemniona klasa), któremu przez całe swoje życie pozostał wierny; nienawiść do panów i pańskości; bezpośrednie wezwania w wierszach do obalenia przemocą istniejącego porządku (siekiery, krew, rewolucja ludowa); konsekwentny egalitaryzm; skłonność do komunistyczno-utopijnej

wizji przyszłości („odnowiona ziemia“). Szczególnie silny nacisk kładzie się na bliskie kontakty Szewczenki z rosyjskimi „rewolucyjnymi demokratami“, jego zależność od ich wpływów.

Niektórzy radzieccy kapłani właśnie tej odmiany kultu poszli jeszcze dalej, mówiąc o radzieckim profetyzmie Szewczenki (obraz rodziny wielkiej, wolnej, nowej z jego Testamentu potraktowano jako „zapowiedź rodziny narodów Związku Radzieckiego“).

Szewczenko nacjonalistyczny. W utworach poety dominuje duch kozacko-rycerski, Szewczenko jako pierwszy rozbudził uśpioną ukraińską świadomość narodową, naród nazwał narodem, wyznaczył jego ideę narodową i perspektywę historyczną. Idealem poety jest Wolność, którą niewątpliwie należy rozumieć jako wolność dla Ukrainy. W jego utworach odnajdujemy przejawy nienawiści czy przynajmniej pogardy dla innych, wrogich narodów (Moskale, Żydzi, Lachy), czasem dostaje się nawet Niemcom („kusy Szwab“). Ukraiński narodowy ruch wyzwoleniczy (1918-1922) - wszyscy ci hajdama-cy, strzelcy siczowi, cała ta atamania - to właśnie jego styl, jego estetykę uznają za własną: od karnawałowych uniformów zaczynając, na hasłach zaś kończąc. A ów testamentowy obraz rodziny wielkiej, wolnej, nowej jest traktowany jednoznacznie jako wizja przyszłego zjednoczonego Ukraińskiego Państwa.

Szewczenko chrześcijański. Sam żywot Szewczenki jest wzorcem chrześcijańskiej martyrologii. W jego utworach pełno jest biblijnych motywów, wątków i aluzji (Biblia w ogóle była jego ulubioną księgą, do której często powracał). Szewczenko stworzył pewien konsekwentny i jednolity system etyczny, polegający na wytrwałym umacnianiu prawdy, dobra, miłości do wszystkich i wszystkiego, a przede wszystkim do słabych i uciśnionych, a więc z istoty swej głęboko chrześcijański. Swoistość religijności Szewczenki - nie da się ukryć - polega na tym, że pozostawał w konflikcie z oficjalnym Kościołem i jego sługami, stopniowo zmierzając w swej wierze ku personalistycznemu protestantyzmowi.

Szewczenko ateistyczny. Niechęć, czy wręcz odrzucanie przez Szewczenkę wszystkiego, co związane z Kościołem i jego sługami, widać wyraźnie w jego tekstach. Księża, popi, mnisi opaśli, rytualne atrybuty stale wywołują u niego idiosynkrazję. W cerkwi nigdyśmy go nie widzieli, wspomina pewna kobieta. O obrządku prawosławnym, bizantyjskim pisze w swym Dzienniku: „...coś zupełnie obcego i dalekiego, jakiś Tybet czy Japonia“. Nie warto robić z niego ikony, bo przecież właśnie nawoływał do tego, by ikonami palić w piecu, a z porfiry zrobić onuce. Ale rzecz nie tylko w braku tolerancji dla obrzędowości i kleru jako struktury społecznej. Na poziomie czystych idei też przejawia swój protest, pisząc, że dla Ukrainy mógłby przekląć i samego Boga (wzmocnienie „Szewczenki nacjonalistycznego“).

Dlatego też nie jest ateistyczny, oponują inni. Jest bo-goburczy. A to dwie różne kwestie.

Szewczenko dysydencki. Przykład Szewczenki to przykład indywidualnej walki samotnego idealisty z reżimem totalitarnym. Etos Szewczenki to - właściwie rzecz ujmując - etos oporu człowieka wobec czegoś znacznie od niego większego, potężniejszego, zdepersonalizowanego; opór stawiany jakiejś gigantycznej maszynie zniewolenia. „Szewczenko to nasza, pieśń protestu“ - tak sformułował to poeta-dysydent, Ihor Kałyneć, w 1972 roku, kiedy kolejna fala aresztowań znacznie przerzedziła, ukraińskie środowisko intelektualne w Kijowie, Lwowie, Stanisła-wowie, Czerniowcach, Odessie i innych punktach oporu.

Szewczenko anarchiczny. Przede wszystkim był wolnym człowiekiem, uosobieniem bohemy, hulaką, moczy-mordą, duszą towarzystwa, niezłym pijakiem i bywalcem burdeli. Żywił nieprzeartą niechęć do konwenansów (stanowych, obyczajowych, rytualnych). Bywało, że szokował otoczenie swoimi żywiołowymi i nieprzewidywalnymi reakcjami. Stąd też jego częste bunty, ale nie można upatrywać w nich jakiegoś programu politycznego, gdyż Szewczenko był świadomie apolityczny. We wspomnieniach o nim zanotowano w szczególności, że „każda polityka jest amoralna, w politycznych celach wyrządzano wszelkie zło i z tego wynikają wszelkie nieszczęścia plemion i narodów, stąd też to państwo jest najlepsze, które nie prowadzi żadnej polityki“. „Dziś Szewczenko byłby pewnie jakimś raperem“ - powiedział niedawno mój przyjaciel muzyk rockowy. „A w latach osiemdziesiątych byłby punkiem“ - dodał inny.

Interesujące, że radykalna zmiana w historii ukraińskiej, jaką przyniosło wybicie się na niepodległość i budowanie własnej państwowości, od czasu do czasu rodzi dość nieoczekiwane małe hybrydy Szewczenki. Jedną z takich niespodzianek ubiegłego roku był przedwyborczy alians czterech wpływowych polityków, z wielką pompą obwieszczony na Górze Szewczenki w Kaniowie i w tenże sposób niejako zalegalizowany w oczach całego (lewicowego, prawicowego i nijakiego) społeczeństwa ukraińskiego. Alians od samego początku otrzymał nazwę „czwórki kaniowskiej“, a jego celem było przede wszystkim odsunięcie od władzy obecnego prezydenta w trakcie wyborów. Osobliwa postać narodowo-komunistyczno--państwowego Szewczenki jako swoistego duchowego patrona transakcji miała być czynnikiem zespalaającym w oczach ukraińskich wyborców. Jeden kandydat wyłoniony przez alians miałby zebrać więcej głosów od urzędującego prezydenta. Wszystko skończyło się zupełnie dobrze dla tego ostatniego - jako prawdziwi Ukraińcy i nieodrodne dzieci Tarasa, członkowie „kaniowskiej czwórki“ nie zdołali uzgodnić wspólnej kandydatury. W ten sposób po raz nie wiem który górę wziął Szewczenko anarchiczny.

## Polacy

Jako autor Hajdamaków (i chyba tylko tego utworu) Szewczenko na pewnym etapie swej życiowej i twórczej drogi może zostać uznany za postać dość problematyczną dla historii ukraińsko-polskich porozumień i - odpowiednio - nieporozumień. Choć już nawet we własnej Przedmowie do tego poematu (1841) młody wówczas autor jakby przeproszał tych czytelników, zwłaszcza polskich, którzy mogliby źle zrozumieć jego zamiary: „Dobrze jest spojrzeć na kobziarza ślepego, jak siedzi sobie z chłopcem, ślepy, pod płótem, dobrze jest też posłuchać go, gdy zaśpiewa dumę o tym, jak to dawniej bywało, jak walczyły Lachy z Kozakami; dobrze... a jednak rzekniesz: «Chwalić Boga, że minęło», a nadto kiedy uprzytomnisz, żeśmy jednej matki dzieci, żeśmy Słowianie. Serce boli, a opowiadać trzeba.: niechaj widzą synowie i wnuki, że ojcowie się mylili, niechaj zbratają się znowu ze swymi wrogami“.

Uwaga Szewczenki dotyczy obu stron - mylili się (stwierdza z powściągliwością) wszyscy. Nasza historia jest naszym wspólnym grzechem.

Szewczenko przyszedł na świat i wyrastał w tej osobliwej przestrzeni kulturowej, gdzie wciąż jeszcze dawały się rozpoznać pewne fragmenty, czy też raczej okruchy, starej Rzeczypospolitej - obecność polskiego czynnika w mentalności, języku, warstwach tradycji, krajobrazie architektonicznym była wyraźna i oczywista. Jako młodzieniec, towarzysząc swemu właścicielowi, czas jakiś mieszkał w Warszawie, gdzie był świadkiem Powstania Listopadowego (d propos, powstańcy wypędzili z Warszawy wszystkich „Rosjan“, i w ten

sposób Szewczenko został zmuszony do kontynuowania podróży w ślad za swym panem, wraz z całą jego świtą). Potem w Wilnie miał coś w rodzaju romansu ze starszą od siebie panną, Polką (wedle innej wersji była to młoda kobieta). Polacy w ogóle często towarzyszyli mu w ciągu całego jego życia: jacyś studenci, szlachcice, oficerowie, buntownicy pod dozorem administracji carskiej. Właśnie Polak, student, był jedynym, który został aresztowany za ekstremistyczne przemówienie (po polsku) na pogrzebie Szewczenki w Petersburgu.

Kultura polska, przede wszystkim współczesna mu, mocno go pociągała. Zresztą polski był trzecim językiem, którym władał. Tak więc Mickiewicza, którym się zachwycił, jak i Zaleskiego, albo historyka Lelewela mógł czytać w oryginale. Mickiewicza, o czym świadczą wspomnienia przyjaciół, próbował tłumaczyć, ale nie szło mu - zapewne na przeszkodzie stał sylabizm - dał na drobne strzępy to, co napisał, i złożyć tego na powrót nie zdołali nawet świadkowie tych bolesnych zmagañ.

Swoją skondensowaną wizję ukraińsko-polskiego współistnienia Szewczenko ujął w trzydziestu dwu wersach utworu o całkiem wymownym tytule Do Polaków (inny jego tytuł pochodzi od incipitu Kiedyśmy byli Kozakami}. Rozpoczęty w 1847 roku w twierdzy w Orsku, przetrwał najtrudniejsze lata poety (całe jedenaście!) w jakichś skrzętnie ukrywanych w cholewkach (zacha-lawnych) zapiskach. Dopiero w 1858 roku, wracając z wojska, Szewczenko dopisał do niego ośmiowersową strofę, i w ten sposób go zakończył.

Pod względem treści wiersz ten dzieli się na trzy części. Pierwsza z nich to całkiem idylliczna wersja dawno minionego złotego wieku, kiedy Ukraińcy „jeszcze byli Kozakami“ i „bratali się z wolnymi Lachami“, a ziemia była jednym wielkim ogrodem i „żyło się tam wesoło!“.

Najlepszy polski przekład tego wiersza, pióra Jerzego Jędrzejewicza, zbyt odbiega od oryginału i nie daje się wykorzystać w cytatach przeplatanych autorskimi komentarzami Andruchowicza, wobec czego podaję te fragmenty w dosłownym brzmieniu (przyp. tłum.).

W pewnym momencie przychodzi jednak koniec (początek drugiej części): „Aż póki w imię Chrystusowe// Nadeszli księża i podpalili// Nasz cichy raj“. Tak więc zło metafizyczne i historyczne zostało nazwane - Kościół katolicki, a inaczej rzecz ujmując, ekspansja religijna z Zachodu. Cała druga część to lakoniczny i przez to jeszcze bardziej ekspresyjny opis piekła, w jakie przeobraziła się Ukraina (jak to dość często u Szewczenki, „morze łez i krwi“, głowa spadająca za głową, jęki, płacz, kaźń). I znowu ksiądz, który swym „wściekłym językiem“ powtarza „Te Deum! Alleluja!“, błogosławiąc każde zabójstwo i gwałt.

Wszystko się zgadza. To iście Szewczenkowska wizja (o jakiejś niemal organicznej odrzeczności do Kościoła i jego sług już wspominałem). Jeden z najbardziej zagmatwanych węzłów historii Europy Wschodniej zostaje przecięty w sposób dlań charakterystyczny - energicznie i szczerze: jest konkretne zło, są winni, on ich widzi i może wymienić.

Po jedenastu latach, dopisując zakończenie tego wiersza (faktycznie trzecią jego część), Szewczenko nie zmienia ostrza swego oskarżenia. Nie dopuszcza żadnej rewizji. W apostrofie zwraca się do polskiego przyjaciela („Lachu, druhu, bracie“) i wymienia tę samą przyczynę zburzenia, dawnego wspólnego raju - „zachłanni księża i magnaci// Nas poróżnili, rozłączyli“. Ale w ostatnich czterech wersach zaprasza do odnowienia złotego wieku (i nawet nie bez chrześcijańskiego ukłonu): „Podajże rękę Kozakowi// I serce swe do niego przychyl// I znowu w imię Chrystusowe// Odbudujemy raj nasz cichy“.

Trudno mi dziś odpowiedzieć, na ile to wiersz pojednania, na ile wręcz przeciwnie. I tak już jest. Bo taki już jest Szewczenko.

## Sława

Szewczenko pragnął sławy - jak wszyscy genialni narcyzi, musiał z niej czerpać energię dla dalszego rozkwitu. W 1849 roku, na tymże zesłaniu, na wyspie Kos-Aral na Morzu Kaspijskim, w rozpaczy tworzy wiersz, w którym wyraża pretensję do ukraińskiego ogółu: „To już dziesiąty mija rok// Jak ludziom dałem Kobzarza,// A oni jakby kto ich zasznurował// Nikt nawet ust nie otworzy, ani nie połaja,// tak jakby mnie nie było“. Pomimo całej oczywistości hiperbolizowania przez poetę tego dramatu (to on, z jego charyzmą, narzeka?!), charakterystyczne wydaje się co innego - ze wszystkich tortur, jakim można poddać byłoby człowieczy, najcięższą byłoby brak uznania, zapomnienie, milczenie, cisza, pustka.

Na szczęście tak się nie stało.

Od szkolnej ławy wszyscy Ukraińcy słyszą o światowej stawie naszego Wielkiego Kobziarza. O tym, że jego utwory przełożono na setki języków (i zazwyczaj źle przełożono, dodam tu). O tym, że jego pomniki są na całym świecie (Paryż, Rzym, Londyn, Waszyngton, Nowy Jork, Vancouver, Winnipeg, Buenos Aires, tę wyliczankę można długo ciągnąć) i można by nawet przypuścić, że Szewczenko jest absolutnym mistrzem świata poetów pod względem ilości pomników. Żaden Dante ani Szekspir nie może mu dorównać masą brązu, miedzi, marmuru, granitu, żelazo-betonu. Ukraińskie społeczności na całym świecie zwykle zbierały środki na pomniki Szewczenki, co miało dowodzić ich legalnej, przede wszystkim we własnych oczach, obecności w tym czy innym miejscu, ich auto-afirmacji. Było to zawsze - i do dziś pozostaje - przede wszystkim rytualną i wewnątrzukraińską akcją.

Prawdziwa sława Szewczenki przychodzi jednak znienacka i przejawia się w szczególny, tylko dlań charakterystyczny sposób.

Pewnego razu w Nowym Jorku dostałem zaproszenie na występ do nocnej kawiarni poetyckiej o złożonej nazwie Nuyorican. To połączenie samo w sobie wiele mówiące - kawiarnia znajduje się w jednej z portorykańskich dzielnic East Yillage. Zaproszenie podpisał człowiek o nazwisku Kith Roach. Jak mi wyjaśniono później, roach znaczy w slangu nic innego jak „skręt“.

Poetyckie deklamacje w Nuyorican Poets' Cafe odbywają się co piątek, nocą, początek gdzieś o jedenastej i trwają mniej więcej do drugiej-trzeciej. Podchodzicie do metalowych, wymalowanych sprejami drzwi, pod którymi wiecznie sterczy, kołysząc się, ogromniasty siwowłosy Undejoe, płacicie mu piątaka za wejście (za poezję?) - i trafiacie do ciasnego, ale niesamowicie głośnego i kolorowego od ludzi pomieszczenia, ledwo przebijacie się wzdłuż baru, przedzieracie przez zasłonę dymną, przed wami niewielka sala, wszystkie stoliki już, jak to się mówi, oblepione ludźmi, wszyscy siadają gdzie popadnie - na podłodze, na balkonie, gdzieś pod ścianami, ktoś już gwizdże i klaszcze, a nad wszystkim grzmi muzyka, jakieś reggae albo funk, albo rap...

Nigdy nie zapomnę tej atmosfery - dziesiątki twarzy, dziesiątki odcieni skóry, cała planeta, serce Nowego Jorku, niesamowita wolność, zdobyta wreszcie przez tych potomków niewolników. W Nowym Jorku nie warto chodzić do muzeów - co tam muzea! - jeździsz po

prostu metrem czy chodzisz po ulicach i patrzysz na ludzi, na tę nieprawdopodobną mieszankę etniczną, na osobliwe odzienia, fryzury, błyskotki, tatuaże, wsłuchujesz się w hiszpańsko-angielsko-chińskie języki i zaczynasz wreszcie czuć, jaki sens niesie w sobie biblijny mit Babilonu...

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy na podium pojawił się ulubieniec wszystkich Kith Roach, jak zwykle ze skrzykiem w kąciu ust - jego konferansjerka musiała być naprawdę dowcipna, choć prawie nic nie rozumiem ani z języka Harlemu, ani po jamajsku, ale kiedy wymówił „Bubabu“ - niczym stare afrykańskie zaklęcie, zrozumiałem, że nadeszła moja kolej...

Nigdy nie zapomnę też prawdziwych zaklęć - charyzmatyczny i niczym mistrz koszykówki długi czarny poeta czytał - nie, oznajmiał! - jakieś rewolucyjne strofy, a publika chórem powtarzała za nim bojowy i zapewne sakralny refren, coś na kształt „om, sza-lak, sza-lak!“.

Nigdy nie zapomnę, jak uginały się pode mną kolana i zasychało w gardle. Niby nie jestem nowicjuszem, niby publiczność to dla mnie nie nowina, ale co to za drzenie, co to za paraliż? I oto sytuacja jak piętnaście lat temu: nie znają cię tu, żadnej taryfy ulgowej, jesteś obcy, obcy, pokaż, co jesteś wart i czego tu wśród nas szukasz...

Pierwszy kontakt z mikrofonem - i prawie wszystko wraca do normy. Słuchają cię z niezwykłą uwagą, wszyscy są urodziwi, prawdziwe kolorowe kwiaty ziemi. Zaproponowałem im Kozaka Jamajkę; autor przekładu, Wi-talij Czernecki, dał, zdaje się, doskonałą angielską wersję, z której w szczególności dowiedziałem się, że siwucba należy tłumaczyć jako moonshine, czyli „księżycowa poświata“. Choć największy poklask u publiczności zyskał wers „czyż jeśli Europą jesteś, to już nie jesteś człowiekiem“ - tu nareszcie zrozumieli, aha, ta Ukraina to też jakaś taka niedawna kolonia, to też niewolnictwo, plantacje, świst nahajki, powolne rzewne pieśni, to tacy zbiegli niewolnicy, którzy w żaden sposób nie mogą wyrwać się na wolność...

Później, kiedy piłem trzecią butelkę piwa (co i rusz ktoś mi kupował następne i dziękował), wezwano mnie do tutejszego patriarchy. Stary siwy Portorykańczyk, król poetów, założyciel i patron kawiarni Nuyorican, zewsząd otoczony przez młodzieńskie mulatki z tutejszej bohemy, wyszczerzył w uśmiechu swe żółte od dymu cygar zęby i powiedział mi coś takiego, od czego powinienem natychmiast wytrzeźwieć. „Listen - rzekł na całą szerokość swego równikowego uśmiechu - Taras She-vchenko is my favourite poet! And I also know yob tvayu mat!“.

Miał mi oznajmić dwie miłe rzeczy - i oznajmił.

Chwała ci, ojczyzny nasz, Tarasie, myślałem w oszołomieniu. Ty wiecznie stoisz nad nami i spoglądasz na nas z góry.

(przełożyła Ola Hnatiuk)

## **MALBORK I KRZYŻACY**

Malbork leży w tej wewnętrznie wgłębionej części świata, której fragmenty przyjęto na mapach fizycznych oznaczać kolorem ciemnozielonym. To taka kartograficzna konwencja; ciemna zieleń powinna kojarzyć się z wilgocią, bagnami, deszczami i miriadami owadów w lecie. Nadbałtycko-pruskie krajobrazy nie oszałamiają zazwyczaj swym ekstremizmem; prócz nudnawej równinności charakteryzuje je co najwyżej niesamowita ilość tu i ówdzie rozsianych niewielkich jezior. Na mapie wygląda to na naturalne wspomnienie o okrucach rozbitego lustra. Tak też jest w rzeczywistości - cały ten jeziorny nadmiar stanowi pozostałość po do dziś topniejącym lodowcu. Zagrożona wszelkimi odpadkami pamięć werbalna podsuwa przy tej okazji słowo moreny, ale tu grzęźniemy, jednakowi w powierzchowności własnej wiedzy z geologii oraz innych nauk o ziemi (tak jakby nauki o niebie były nam bardziej dostępne).

My - to czworo wędrowców wewnątrz niedawno nabytej postradzieckiej nivy, która w niedzielne południe dzielnie pokonuje przestrzeń między Toruniem a Gdańskiem. Jest nas po równo każdej płci, ale po co tu komplikować - stanowimy dwie pary małżeńskie, ot, taki kwartet na literackich gościnnych występach. Podróż nasza ma wszelkie szansę stać się całkiem celową; przemieszczamy się coraz dalej na północ, w stronę Bałtyku i Zatoki Gdańskiej, i zostaje nam dobre kilka godzin na zwiedzanie bohaterskiego miasta Malborku, czyli Marienburga.

Kiedy więc wyrasta przed nami zamek, ten bronto-zaur z czerwonej cegły i zieleni, to zbyt potężne miasto wewnętrzne, czujemy się niemal szczęśliwi. Jest po temu kilka powodów. Po pierwsze - pod zamkiem mnóstwo piwa, wina i wolnego czasu. Po drugie - perspektywa dotknięcia czegoś kompletnego i autentycznego (choćby i muzealnego). Po trzecie - również perspektywa dalszej podróży, morskich pejzaży hanzeatyckich, bursztynowego Długiego Targu na końcu, czyli świadomość, że im dalej, tym lepiej. Po czwarte - fakt, że mamy 14 maja 2000 roku.

Tak więc 14 maja 2000 roku o godzinie gdzieś tak samo czternastej z minutami przekroczyliśmy granicę Niskiego Zamku czy też przedzamcza, w Malborku, i mijając kioski, kawiarnie, pocztę oraz biura turystyczne, ruszyliśmy w Stronę Średniego i Wysokiego Zamku, w którego bramach dostrzegliśmy miejscowych chłopców w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. Coś rozdawali - jakieś odezwy czy deklaracje, a może indulgencje, najpewniej jednak ogłoszenia o koncercie. Nigdy już się nie dowiemy, jaką tego wieczoru muzykę proponowano gościom zamku: gregoriańską, organową, free jazz czy trip-hop? Nie doszliśmy do bram i nie znaleźliśmy się w zamku.

Właściwie do dziś nie wiem, dlaczego właśnie w tym momencie zachciało mi się zadzwonić do domu. Czyżby sam widok budek telefonicznych zdolny był wywołać tak niepowstrzymany napływ nostalgii? Czy też to moja wszechobecna paranoja z natarczywym wyobrażaniem sobie w najdrobniejszych szczegółach jakichś nagłych katastrof i nieszczęśliwych wypadków?

Kilkanaście godzin wcześniej, to znaczy 13 maja 2000 roku późnym wieczorem, w Iwano-Frankiwsku w budynku z wielkiej płyty nr 50 w pobliżu ulicy Iwasiuka i Parkowej również przekroczone granicę. Drzwi wejściowe uległy pod kopnięciem nogą, jeśli nie za pierwszym, to za drugim razem. Od tego momentu działający z zamiarem popełnienia przestępstwa stają się przestępcami, nie dostrzegając jednak metamorfozy prawnej. Dzielnica, w której mieszkamy, typowa dla późnora-dzieckiej urbanistyki, zwykła chorobowa narośl na ciele miasta, zapewne jeszcze siłą socjalistycznej inercji, została pomyślana przez cynicznych

architektów jako Miasto Słońca. Pełno tam nikomu niepotrzebnej młodzieży, chroniczne bezrobocie, mnóstwo całodobowych sklepików i barków z wódką i narkotykami (do niedawna ta okoliczność, co tu kryć, wydawała mi się zaletą). Najczęstsze i najzwyczajsze dla tutejszej milicji sprawy to - prócz aktów przemocy - właśnie włamania do mieszkań i kradzieże samochodów. Przeciętnie milicja wykrywa sprawców jednego na dziesięć takich przestępstw, statystyka pozwala zaokrąglać liczby po przecinku, jest więc faktycznie bezradna, nadto w sumie dość zadowolona, i właściwie na nic już nie reaguje. Złodzieje buszują po okolicznych podwórzach i budynkach, wyłamują drzwi, wyrywają zamki, przewracają cały dom do góry nogami, zaś skradzione rzeczy wynoszą w prześcieradłach i workach przez strych, przemierzają się po dachach, jak latający Holendrzy i znikają na zawsze bez wieści. Ale dlaczego bez wieści?

Oto wpadają do naszego mieszkania, nie jeden na przykład czy dwóch, ale troje, choć całkiem możliwe, że ktoś z nich został jeszcze na klatce schodowej, by kontrolować z okna podwórze i wejście do klatki. Tak, musiał być ktoś na obcinie, bo przecież nie dokończyli dzieła, a ściślej, dali dyla, porzuciwszy związane obrazy i niektóre ^mty, więc jednak ktoś musiał stać na obcinie. Choć nie wykluczam też telefonu z jakiegoś bardziej odległego punktu obserwacyjnego, ale taki już mój los - dodawać mało istotne szczegóły do czterech uniwersalnych wątków. Ten jest o szturmie na ufortyfikowane miasto, bronione przez bohaterów. Albo nie - o poszukiwaniach, oczywiście skazanych na niepowodzenie.

Teraz wracam jednak do tych trojga, wśród nich musi być dziewczyną, dziewczynką, suką, trochę jeszcze dziecko, ale już kobieta. Kobiety są niezbędne w takich operacjach, ponieważ potrafią znacznie uważniej obchodzić się z rzeczami, zdolne odczytywać aluzje codzienności niczym rozdział w Księdze Żywota, a dzięki temu momentalnie wyciągać intuicyjnie wnioski o miejscu przechowywania skarbu. Skarb zwykle wyobrażają sobie jako stosunkowo dużą (ile ci trzeba dla pełnego szczęścia, Bałaganow<sup>1</sup> paczkę dolarów, albo innych nieprzemijających wartości, ukrytą przez zapobiegliwą gospodynię gdzieś w bielizniarce.

Ta półzeńska istota potrzebna jest nadto do zbierania pomniejszych zdobyczy, trofeów mniej istotnych: perfum, szamponów, kremów, biżuterii, bibelotów z drewna, srebra, kości słoniowej, kamieni rzecznych - wszystkich tych od lat gromadzonych w coraz większych ilościach miłych damskich rupieci - efekt wszelkich urodzin, imienin i spontanicznych przyjęć z pijatykami, więc ona, tylko ona zdoła odróżnić w tym wszystkim firmę od badziewia. Wybiegając naprzód i nie bez satysfakcji - jej pomyłki w tej dziedzinie okazały się po prostu zasadnicze, wybór padał na to, co najbardziej błyszczało, tak więc jasne, to była siksa z wiecznie poobijanymi kolanami i podrapanymi łydkami, z poobgryzаныmi paznokciami i nieuchronnie żółknącymi starym siniakami na wątych biodrach. Uzupełnienie: trochę za duży stanik matki. Starej dobrali się do dupy we Włoszech, a stary przepadł bez śladu w Rosji.

Prócz tego potrzebna jest do trójkąta. Wie, że obydwaj są w niej - jak by to powiedzieć? - zakochani i będą się dla niej prześcigać w staraniach. To taka opowieść o rywalizacji, miłości i zdradzie. Ona jeszcze powie, którego z nich bardziej i z którym. Obydwaj są niskiego wzrostu, ostrzyżeni na pałę, obydwaj w dresach, tyle że pierwszy ma bardziej oryginalne kolory - zielony z szarym. Albo fiolet z szarym. Jeszcze nie wie, który z nich bardziej się jej podoba.

---

<sup>1</sup> Szura Bałaganów to postać kieszonkowca z powieści Ufa i Piętrowa Złoty cielec, towarzysz głównego bohatera, Ostapa Bendera, który zdobył swój milion i zaproponował część tej sumy Bałaganowowi, zaraz potem złapanemu na gorącym uczynku — na kradzieży w tramwaju.



Obydwaj udają o dziesięć lat starszych. Obydwaj twierdzą, że są z szajki. Pierwsze mieszkanie obrobili rok temu, niby że to jest rocznicowe - dziesiąte, dwudzieste piąte, setne. Obydwo jednak zdradza drżenie rąk i głosu. W pierwszej chwili nie wiedzą, co robić - biegają z pokoju do pokoju, wpadając na meble i na siebie nawzajem, otwierają szafy, łapią się za szuflady, zapalają światło, gaszą, błyskają latarkami, znowu zapalają światło. Psa, który szczeka w łazience coraz głośniejsze, trzeba by uciszyć, ale nikt z nich nie potrafi tego zrobić, co samo w sobie świadczy o tym, że jest jeszcze dla nich jakaś nadzieja, w końcu wyganiają psa na schody. Uspokaja ich to z jakiegoś powodu, tak, czasu mają nie więcej niż trzy, cztery godziny, od czego tu zacząć?

Nazajutrz dowiemy się o wszystkim, i od tej chwili zawładną nami niepodzielnie, będziemy o nich myśleć, mówić, będziemy ich sobie wyobrażać, zabijając powoli, używając własnych kolorów, projektując. Nazwiemy ich oni, po czym nigdy więcej się z nimi nie rozstaniemy.

Idea polegała na tym, żeby schrystianizować wszystko na świecie. Stopniowo posuwając się coraz dalej na północny wschód, poszerzać włości Zakonu o coraz większe terytoria. Należało przebić się do morza i jego bursztynowych brzegów, biegnących na widnokręgu żagli. Dostęp do morza jest przecież historycznym zadaniem dla każdego państwa. Jeśli nie dokona się tego w porę, wówczas wszystkie wybrzeża podzielą między sobą sprytniejsi, a wam przypadną w udziale dowcipy o ministerstwie żegluga morskiej.

Trzeba było nawracać na prawdziwą wiarę miejscowych dzikusów, to jest palić ich zawzione siedliska wraz z niemytymi idolami, a następnie całe plemiona zganiać do polodowcowych jezior i trzymać ich tak godzinami po szyję w wodzie na odległość najeżonych pik, żeby, kurwa, nabrali rozumu. Trzeba, było godnie nieść swój cywilizacyjno-dezynfekcyjny krzyż, czyli miecz, dźwigać na sobie zbroję, ciągnąć za sobą, grzęznąc w piaskach, organy i ołtarz, tygodniami nie spać podczas wypraw, kopać rowy i sypać wały, pościć, modlić się, karmić komary swą nieskazitelną krwią i w skupieniu medytować, ale to próżny trud, nie sposób było nauczyć tych ciemnych głupków ani łaciny, ani nawet medycyny czy bodaj higieny. (Zabawne, że pod koniec czerwca znalazłem się znowu w Malborku, tym razem w towarzystwie setki wszelkiej maści cudownych pisarzy - z trudem unikam pokusy, by nie napisać: cudacznym - wówczas znalazłem się wreszcie w zamku, wszystkim pokazano te ich rycerskie toalety, umieszczone w specjalnej wieży z kanalizacją. Kanale, już wtedy znali się na tych rzeczach!).

Tak więc w 1309 roku, kiedy Wielki Mistrz o nieco reminiscencyjnym imieniu Zygfryd von Feuchtwangen ogłosił marienburską siedzibę rycerzy niemieckiego zakonu swą główną rezydencją, z miejscową ludnością pruską dawno już się zwycięsko uporano. Co prawda w 1772 roku Prusy niby powróciły, ale nie te i nie z tymi Prusami, a raczej z Prusakami, których do dziś nikt w Europie nie lubi, niebezpiecznie kojarząc ich z tępymi żołdakami, chirurgią polową oraz filozofią Kanta. Trzysta lat wcześniej jednak zamek w Malborku wpadł w ręce po sarmacku nieustraszonych rębajłów - Polaków, o czym nie wprost wspomina Szekspir w Hamlecie, czyniąc aluzję do porażki głośno rozreklamowanej kampanii Fortynbrasa.

Tak więc zwykła arytmetyka mówi, że panowanie Krzyżaków w tych okolicach trwało wszystkiego może jakieś dwa wieki, lokując się w otchłani czasu między połową XII wieku a połową wieku XV. W ciągu tego okresu wzniesiono niejedną pas murów obronnych, potem zaś i całą tę czerwono-strzelistą bryłę, pałace, tarasy, galerie, krużganki, wieże, kaplicę Najświętszej Marii Panny z ołtarzem św. Anny i mnóstwo innych budynków - mieszkalnych,

publicznych, szpitalnych i gospodarczych, gdzie obok niewyczerpanych zapasów zboża, mąki, chmielu i miodu nabierały mocy zdobywczo-rytualne wina. W sadzawkach pływały karpie, a w oranżeriach z fontannami przechadzały się pawie i bażanty, i aż się prosi, żeby dopisać „i pingwiny“.

Nic więcej nie mogę sobie przypomnieć. Pozostają mi tylko słowa, a ściślej - ich powłoki (refektarz, dormitorium, kapitułarz) i cierpkie poczucie obecności, przeżyte w ogrodzie Wielkiego Mistrza.

„W rzeczywistości wino wolno było pić jedynie zwierzchnikom Zakonu oraz chorym i rannym - poinformowała przewodniczka. - Zwykły rycerz zakonnik dostawał do kolacji tylko kufel piwa“.

Pokiwaliśmy głowami ze smutkiem, w żadnym razie niezdolni pojąć ten dramat. Niektórzy z nas byli spragnieni bardziej piwa niż wina. „I tak ich pokonaliśmy“ - rzekła, pani z Białorusi, z poczuciem wyższości spoglądając z wieży na wypełniony tłumem turystów dziedziniec. „Może by zadzwonić do domu?“ - zatrwożyłem się, rozpoznając pierwsze symptomy mej paranoi podróżniczej. Tym razem jednak w porę się powstrzymałem, uświadomiwszy sobie, że lepiej nie wiedzieć niż wiedzieć, lepiej nie mieć niż mieć i lepiej nie być niż być.

W podobny sposób szukałem ratunku i wówczas, 14 maja. Staliśmy na moście nad rzeką Nogat i bezmyślnie gapiliśmy się na czerwoną bryłę zamku, który pozostał rzeczą samą w sobie. Szczęśliwy ten, kto nie ma nic do stracenia, udzieliła mi pierwszej pomocy przypomniana i zapomniana maksyma. Niczego nie traci tylko ten, kto niczego nie posiada, weszła z nią w ukrytą polemikę inna, w porę zapomniana i przypomniana. Banał, odczuty na własnej skórze, to już nie banał, a prawda cierpienia, przedarł się z podziemi pamięci kolejny banał.

Musiało upłynąć trochę czasu, niezbędnego dla boksera po nokdaunie, żeby myśli o utraconych rzeczach ustąpiły poczuciu wdzięczności. Tak naprawdę mieliśmy szczęście, spróbowałem jakoś podsumować. Po pierwsze, wszyscy przeżyliśmy, łącznie z psem. Po drugie, nie zdążyli wynieść wielu rzeczy: obrazów, które dostaliśmy od przyjaciół, glinianych dzwoneczków, kamieni rzecznych, żadnego albumu, pisma, książki, pocztówki, starego listu i - co w ogóle wydawało się cudem i znakiem! - żadnego kompaktu z całej kolekcji, wytrwale gromadzonej przez lata i niezbędnej mi jak powietrze, szczególnie kiedy jestem sam i nieco wstawiony, bo wówczas otwiera mi się trzecie ucho, i tym podobne. Ręka Opatrzności władczo powstrzymała ich właśnie na granicy z szafką, w której przechowywano całą Najlepszą Muzykę Świata. To znaczy butelkę Ballantine's Finest z poprzedniej szafki jeszcze zdążyli. Tu jednak uderzył w nich Grom z Jasnego Nieba, i powstrzymał.

Po trzecie, pieniędzy nie znaleźli, bo ich prawie wcale nie było, ale gdybyż o tym wiedzieli!

(Sieroca niczym liść jesienny, ostatnia setka doczekała nas w swym zakamarku, nietknięta i cnotliwa; zapragnęliśmy ją zbecześcić, to znaczy nakupić za całą stówę wszelkich trunków i urządzić jakieś apokaliptyczne urodziny dla wszystkich tych szubrawców. Ale mniejsza o to.)

Kroczyli przez pokoje, półki, przedmioty niczym wojsko w natarciu, podzielone na trzy dywizje. Dziewczyna przeczesywała szafy z odzieżą, rozrzucając po podłodze ciuchy i przetrząsając stosy bielizny, w której (o czym już wspomniano) zwykle ukrywa się koperty. Jej pierwszy kochanek rozmontowywał i pakował gdzie się dało aparaturę, sprzęt, farsz, przy

tej okazji pojawił się pierwszy wers wesołkowatego wierszyka bez dalszego ciągu: aiwa, philips, moulinex. Drukarka mogłaby być laserowa. Za to modem jeden z droższych. Telewizor na grzyba. Później zabrał się do zdejmowania obrazów, z dwu powodów: pod kartinami też mogą chować sałatę i kartiny też da się opylić, choć sam mógłbym taką machnąć.

(Związane po trzy - cztery porzucono w korytarzu, obmotano je, znowu znak!, starą i pewnie jeszcze radzieckiej produkcji taśmą magnetofonową z przedpotopowej szpuli, na pudełku ktoś kiedyś zostawił napis „Andruchowycz śpiewa bluesy“; skąd się wzięła, już nie pamiętam, a przesłuchać się nie dało z powodu braku odpowiedniego sprzętu; tak oto taśma doczekała się swego gorzkiego końca, teraz już nigdy nie usłyszę, jak Andru-chowycz śpiewa bluesy; znowu o obrazach - bez wątpienia je także chcieli wynieść, tymczasem jednak musiało zdarzyć się coś takiego, że obcinka dała znać; obrazy jako rzeczy wątpiwej wartości w panice porzucono; ukradli tylko jeden, niech to diabli, jeden jedyny, najcenniejszy).

Tymczasem drugi kochanek znalazł się przy półkach z książkami. I oto złodziejska obawa - czas leci, upływają godziny, tyle jeszcze rzeczy w tym domu, tysiące książek, żeby tylko na półkach (-ach, -ach, echo wewnętrzne podpowiada mu: krach, są wszędzie, na biurku, stołach, pod nogami, na szafkach, na łózkach, a nawet w lodówce - co za burdel tu zrobił ten czitatiell), a w każdej oprawie zamiast wyciętych kartek mogą być dziesiątki tysięcy baksów (ile ci trzeba do pełnego szczęścia, Bałaganów), możliwe więc, że po raz pierwszy w swym krótkim życiu, które jakiś czarny reżyser dawno już podzielił na więzienia, obozy i nagłą śmierć od kosy sprzedanej pod żebro, zamiera przed nieogarnioną otchłanią. Początkowo stara się postępować metodycznie, nie pominąć żadnego grzbietu, nie pomylić się przy wielotomowych wydaniach, stoi na stołku, żeby zacząć od najwyższych, najtrudniej dostępnych półek, denerwują go encyklopedie z ich ukrytymi akumulacyjnymi możliwościami i drobnym drukiem, wybory poezji, antologie w językach obcych, zasuszone między stronicami liście, atlasy roślin, grzybów, karpackiej fauny, potworne, grubaśne monografie, potem same nazwiska i tytuły: Eugene Sue, Edgar Poe, Iwan Łe, Omon Ra, Marcel Proust. W końcu sam nie zauważa, jak zaczyna je czytać - otwierając gdzie popadnie, nic nie rozumiejąc, ale zdania nie puszczają go i pogrąża się tam, gdzie:

...samica Yahoo staje często za wzgórkim lub krzewem i zerka na przechodzących samców; ukazuje im się wówczas i znika, czyniąc wiele błazeńskich gestów i grymasów, a dostrzeżono, że w owym czasie cuchnie ona bardziej niż zwykle. Jonathan Swift, Podróże do wielu odległych narodów świata

Nein, ich tanze nicht, antworte antwortete sie

Robert Musil, Opowiadania Der Vorstadtsgasthof

Thank you. You have beautiful breasts

Rekreacje, w przekładzie M. Pavlyshyna

H, 8ce eiu,e ne Sunycmn ee, OH cdSumm pym/ nod ee KOACHU

z rosyjskiego przekładu powieści Thomasa Wolfe'a Look Homeward, Angel

Mu u,uy6aAucfi mm, i moM H Bnepiąe mopmyScn ii no cnpa-8xHbOMy

Izdryk, Ostriv KRK

u menepb BCH HemSepm ee HAenoS o68u8aAa ezo c maKou omKpumou npocmomou, CAO&HO ona ZOÓOMU npeda6aAaa> Aw6o8-HbLM cx8amKOM 80 8cex muiux cmx

Yladimir Nabokov, Ada

Z samego prześcieradła mogę ci powiedzieć] ile razy i jak goście się pieprzyli

Manuela Gretkowska, Ikona (z Namiętnika)

Ona nodyMcuia (ne MOZAU m nodyuamb), wno eu omeu, npo-deAu6cui c Mamepbw mo xe caMoe, cmpaiunoe, urno ceuuac deAawm c neu

z rosyjskiego przekładu opowiadania Jorge Luisa Borgesa Emma Zunz.

Moe muo 3po6uM)cfi x8uAem, H npocuAa, iao6 Sin y8iuwo8 inomiHoB

z Rekreacji

Palkitsin hanet maidollaja hunajalla, joita aloin vuotaa 2

z fińskiego przekładu Perwersji

...robi mu się coraz bardziej gorąco, ma już pewność, że nie zdąży, że ugrzązł beznadziejnie, ale gdyby nie sygnał alarmowy, który władczo wrywa go na powierzchnię z głębin książkowego transu i przywraca do złodziejskiej rzeczywistości, na pewno doczytałby i ten, ostatni na dziś fragment: „Wiesz, po takich przygodach mam poczucie, jakby ktoś mi przerznął dupę“.

Pierwszy dzień po powrocie do domu upłynął pod znakiem niezwykle wyczerpujących rozmów z milicją. Najpierw trafiliśmy do całkiem świeckiego z wyglądu stróża porządku publicznego: dzielnicowego, który kichał na wszystkie strony, z niezaprzeczalnymi oznakami błyskawicznie postępującego kataru, i zapewnił nas tak przekonująco, jak tylko potrafił, że w naszej sprawie ludzie są tuż-tuż od wykrycia sprawców. Teraz, po półtora roku, są zapewne wciąż u progu sukcesu, wstydliwie nie mając odwagi zastukać do bram przestępstwa i przestę-pując z nogi na nogę. Naprawdę, jeszcze tego samego dnia zrobiło mi się żal tych naszych chłopskich synów, którym potrzebni byliśmy jak dziura w moście: krzywa przestępczości, sprawozdawczość, itd.

Zresztą z zasady nie mogli niczego zdziałać. Było ich sześciu, całych sześciu stróżów porządku i prawa wkroczyło na miejsce zdarzenia, to znaczy do mojego domu, następnego dnia po kradzieży, trzaskali tylko drzwiami, kopali rozrzucone pod nogami rzeczy, biegali z pokoju do pokoju i w końcu się zabrali, przy okazji zwijając pozostawione szlachetnie przez złodziei sześć dolarów. Na każdego z nich przypadło po dolarze (podzielili je uczciwie - choć i w to można wątpić). Ale o jakim wykryciu sprawców może być mowa, skoro ci, do których to należy, okazują się brudem spod paznokci i zabierają nawet to, czym wielkodusznie pogardzili złodzieje.

Później miałem pouczającą rozmowę z pewnym śledczym, przypominającym bardziej ucznia szkoły rolniczej. Ścisłej mówiąc, było to przesłuchanie, a przesłuchiwanym byłem ja. „Dziś piątek, więc pracujemy na dyskatie-kie - dzielił się ze mną operacyjnymi sekretami. - Myślę, że też tam będą. Puścimy naszych ludzi na dyskatieku i prowieńm wszystkie możliwości“. Wprost fizycznie czułem, jak by sobie potańczył. Wrażenie, jakbym znalazł się w środku jakiegoś byle jakiego radzieckiego filmu z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, nie ustępowało.

„Komputer - przypominałem mu. - Warto sprawdzić, czy nie korzystają z mojego konta internetowego“. Po tych słowach zobaczyłem bezgraniczny brak zrozumienia w jego wodnistych oczach, i miałem ochotę walić głową w milicyjne odrapane mury. „Mówicie, komputer - powiedział z wyrzutem. - A nasze komputery to papier, ołówek i nogi do biegania“. Nie powiedział „i głowy do myślenia“, co samo w sobie nawet nieźle o nim świadczyło.

W korytarzu darła się wniebogłosy jakaś kobieta. Za wszelką cenę trzeba wyrwać stamtąd naszą córkę. Przesłuchiwano ją już ponad trzy godziny. Potem okazało się, że i pozostali śledczy są podobni. Nie było sensu szukać tam pomocy. Uzbrojony w automat tłumok nie chciał nas wpuścić do malej. Obok przepchał się jakiś klient, niski, łysy, w dresach (szare z niebieskim). Byli niczym gracze jednego zespołu na treningu czy bracia bliźniacy, co z nadmiaru energii się pobili. To typologiczne, chromosomowe podobieństwo kodów genetycznych gliniarzy i bandytów mówiło samo za siebie. Najgorsze, że wychodziło daleko poza granice tego posterunku - to było podobieństwo ogólnogatunkowe; ta wielka ukraińska rodzina, ta parodystyczno-komiczna mafia, rodzina-rodzi-na - z ojca na syna, och, ród nasz piękny i wspaniały, na-pakowani, łysi, w dresach, gromadzili się koło bazarów, dworców, stacji benzynowych, budek, pobrzękiwali kluczami, drapali się po głowie, łuskali słonecznik, kradli, jedli, srali i tak dalej, a tacy Krzyżacy, ci to byli rośli, długowłosi, czaszki wydłużone, czyste ręce, gorące serca, a że pragnęli oswobodzić Grób Pański, to trzy razy dziennie śpiewali modlitwę do Marii, dlatego kiedy wreszcie wyrwaliśmy się we trójkę z córką z tego ograbionego miasta, gotów byłem zakrzyknąć rytualne „Heil“ - tak jakby nie było innego sposobu dla wyrażenia uczuć.

Mój dobry przyjaciel Gogo mieszka w Nowym Jorku, ale każdego lata przyjeżdża na Ukrainę. „Wiesz - powiedział - pewnego razu zrozumiałem, dlaczego jest tak paskudnie. Zauważyłem, że młodzi chłopcy i mężczyźni lubią siedzieć w kucki, po prostu na ulicy. Zbierają się po czterech, pięciu, siadają kołem w kucki, przy czym milczą, palą i spluwają. To na pewno tatarskie geny. To Tatarzy w stepie“.

W ogóle, tak naprawdę, to zwyczaj ukształtowany w zonie. Prostują przy tym ręce, opierając je łokciem na kolanie, żeby odpocząły.

Ale nie zamierzałem burzyć historiozofii Gogo. Niech myśli o łucznicach Tamerlana. I tak żeśmy ich pokonali, powiedziałyby pani z Białorusi.

Nigdy nie myślałem o dodatkowym zabezpieczeniu drzwi, o ich chłodnej, nie do przebicia istocie, eufemi-stycznie pokrytej różnego rodzaju gładkim i ciepłym drewnem („deska boazeryjna, deska laminowana, płyta paździerzowa, brzoza karelska, dąb, orzech, kalifornijska sekwoja“ - zaklinał mnie niepowstrzymany w technologicznych fantazjach sprzedawca o wyglądzie rzezimieszka), nigdy nie myślałem o zamkach wierzchnich lub wpuszczanych, ani też o tym, że z tych zamków najbezpieczniejsze do dziś są moskiewskie,

ponieważ czeskie i włoskie - to pieniądze wyrzucone w błoto i niczym nieumo-tywowana różnica w cenie. Nigdy nie sądziłem, że tylko spawanie pozwoli mieć nadzieję, że drzwi nie zostaną tak po prostu wyrwane z zawiasów. Nigdy nie sądziłem, że będę zasypiał dopiero po upewnieniu się, że pod łóżkiem mam siekierę. To znaczy nigdy nie myślałem, że więzienna izolacja własnego mieszkania od reszty świata okaże się tak pożądana dla mnie, ulubieńca publiczności, hulaki, pędziwiatra i nieprzejednanego adepta wolności i otwartości.

Moje kataklizmy jednak nie ograniczyły się do syndromu zamkniętych drzwi. Jeszcze gorzej wyglądała kwestia ojczyzny. W ciągu niespełna dziesięciu lat zdążyłem wyrobić w sobie - o nie, niech w tym miejscu będzie bardziej patetycznie! - tak więc wypielegnowałem w sobie coś nadmiernie ciepłego i wilgotnego: miłość do powrotów. Miłość to nieco kazirodcza - był to pociąg przede wszystkim do mego miasta, które nie wiedzieć czemu i czasem od rzeczy nazywam a to Stanisławowem, a to Frankiwskiem, zapominając, że w rzeczywistości to dwa miasta w jednym, których współżycie ze sobą pozostawia wiele do życzenia., choć w każdym z nich czuję się jakby w domu, a jednak w domu.

Tym razem jednak złapałem się na nienawiści. O ty, dziuro zapyziała, pipidówka zaszary, żalotne zadupie, cholerna zabita dechami prowincjo, hybrydo dupy z pęcherzem moczowym, śmietnisko świata i pośmiewisko! O ty, co nie potrafisz ani docenić, ani obronić swych najlepszych ludzi, nie wiadomo za co ci podarowanych! O ty, co nie spocziesz, póki nie przerobisz ich wszystkich na takich samych somnabulicznych meneli i niewy-darzonych kmiotów, jak przeważająca, większość twych mieszkańców!

Całe miasto to oni, prawie nie pozostało w nim nas. Oni śledzili nas zewsząd, przez całe miesiące i lata przygotowując się do karnej ekspedycji: znali trasy, po jakich się przemieszczaliśmy, godziny wyjazdów i powrotów, improwizowane zygzaki nocnych wycieczek; oni dziesiątki razy dzwoniли i milczeli z tamtej strony, ale to napastowanie było najbardziej niewinne z ich psychologicznych ataków. Niekiedy strzelali pod naszymi oknami, częściej jednak dawali znać o swym istnieniu, po raz kolejny przewracając i bijąc do nieprzytomności na trawniku w parku czy na dnie Fortecznego Zaułka któregoś z naszych przyjaciół. Historia rozbitych okularów czy połamanych zeber mogłaby się okazać historią naszej zastygłej w latach dziewięćdziesiątych wieczności.

Nigdy nie sądziłem, że nie będę mógł widzieć twarzy. Ale tak się stało: nie było ich ani tego dnia, którego po raz pierwszy przestąpiliśmy próg naszego zbezczeszczonego mieszkania około siódmej rano, ani potem, przez następne dni przyzwyczajania się. Zamiast twarzy wciąż mi się trafiały wszelkie odrażające wizje w stylu Boscha, wzbogacone w swej potworności o czysto hollywoodzkie możliwości deformacji; idąc przez miasto, wyraźnie czułem, jak oni mnie poznają, z jaką złośliwą uciechą patrzą na mnie - o, to on, k..., posuwa, a chatę mu obrobili! A także - przebac, Panie! - kobiety i dziewczęta, szczególnie te ostatnie, nigdy nie myślałem, że właśnie tak na nie będę patrzył - jak na równoprawne współniczki, oddane złodziejskie kochanki, wykonawczynie i wywia-dowczynie. W każdej z nich siedziała ukryta ona. Wszystkie one to też one. A czym ładniejsze, tym gorzej dla wszystkich i dla całego kraju. Przychodzą do was, niby po to, żeby się połajdaczyć, a tak naprawdę wszystko zapamiętują - co i gdzie leży, a w pochwach mają schowany gaz obezwładniający.

Odpowiedź na to wszystko mogła być tylko jedna: terror. Po raz pierwszy w życiu czułem wielki pociąg do pistoletów, potrafiłem myśleć tylko o strzelaniu. W myślach wpadałem do barów i kawiarni; byłem bezwzględny. Kładłem trupem wszystkich, którzy wyglądali na łysych. W zapale przesadzałem w niektórych przypadkach z okrucieństwem, odstrzeliwując

im genitalia, czyli dokonując sterylizacji naszej przyszłości. Tak samo przeholowałem i z rzeczywistością, bo moje wspaniałe pistolety, zamówione i kupione z najświeższych katalogów, jak się okazuje, nie wymagały ponownego załadowywania - mogłem rozwalić po sto i dwieście osób za jednym razem, nie odrywając palca wskazującego od spustu.

Nie mniej natrętne były wizje czegoś takiego, co można by nazwać systemem obronnym do rozstrzeliwania. Ten system montowano gdzieś w moim mieszkaniu (techniczne szczegóły pozostawiam projektantom więzień i obozów koncentracyjnych przyszłości) i kiedy tylko ktoś obcy zbliżał się do drzwi, żeby po raz kolejny je wyłamać, uruchamiały się odpowiednie dźwignie, a drzwi same zaczynały strzelać, przesywając serią maszynową ich bezsensowne konwulsyjne ciała. „Kilka takich przypadków - przekonywałem sam siebie - tylko kilka takich wypadków, i raz na zawsze położy się kres kradzieżom i włamaniom do mieszkań“.

Jednym słowem, wiedziałem, jak walczyć z przestępczością. Musiała dosięgnąć ich kara - nagła, straszna, nieuchronna - spadając na ich głowy całkiem irracjonalnie, mistycznie, w biały dzień.

To coś w rodzaju Niebieskiej Krucjaty: jakieś metalowe konie, z metalowymi dwumetrowymi aryjskimi jeźdźcami w białych płaszczach z czarnymi krzyżami, jakaś nieludzka muzyka, Richard Wagner, stare marsze niemieckie czy może Rammstein albo Leibach...

Wśród wielu pytań, pozostawionych bez odpowiedzi przez ową niedokończoną historię z raz i na zawsze zdematerializowanymi gdzieś nad Prusami metalowymi jeźdźcami mego gniewu, najważniejsze wydaje mi się to, jak znowu pokochać to, co znienawidziłem?

Pewnego dnia kupię stare zwierciadło, w którym można ujrzeć duchy. Ludzie doświadczeni radzą nie kupować starych luster, bo w taki sposób przenosimy do własnego domu fragmenty cudzych, wymarłych światów, które zaczynają nas nawiedzać.

Ale tego właśnie mi trzeba.. Chciałbym spotykać się z tymi ułamkami, widzieć odbite w lustrze nieistniejące perspektywy korytarzy, pokoi, postaci, zjawiające się gdzieś w głębi. Wątpię, by dana nam była możliwość interwencji w przebieg wydarzeń widzianych w lustrze. „Rozminęliśmy się z przeszłością“. Tak więc, żeby jakoś sobie z tym wszystkim poradzić, pozostaje idealizacja przeszłości. Rozumiem, że tym samym robię straszne głupstwo. Ludzie przeważnie nie są warci tego, żeby o nich zbyt dobrze myśleć. Wyniesienie zmarłych kosztem tych, co jeszcze żyją, wydaje mi się niesprawiedliwe, a więc i niemądre, nie mówiąc już o naiwności. A im dawniej odeszli ci zmarli, tym mniej podstaw do tego, byśmy ich wynosili na piedestał.

Przed wszystkim trzeba było powstrzymać Krzyżaków. W tej kolejnej spowodowanej przeze mnie potyczce tego, co europejskie, z tym, co ukraińskie, ich przewaga nie ulegała wątpliwości. Nie warto było doprowadzać sprawy do końca, bo koniec okazałby się ostatecznym rozwiązaniem.

Chcę natomiast dać zapewne ostatnią szansę tym, którzy w nocy z 13 na 14 maja 2000 roku wyskakują na klatkę schodową z mojego mieszkania. Naprawdę nie mogę się już wtrącić, niech sami sobie radzą. Wszystkie drogi już odcięte, z wyjątkiem jednej - przez dach. Podają sobie zawinięte w prześcieradła i ręczniki rzeczy, torby, walizki, plecaki. Ich ruchy stają się dokładne i rytmiczne - można się zapatrzyć: pierwszy już na dachu, druga na drabinie, trzeci jeszcze na dole z ostatnim pakunkiem, który w mgnieniu oka przechodzi z rąk do rąk,

możliwe, że pojawi się też czwarty - ten z obcinki, ale nam chodzi o tę trójkę, bo teraz wiąże ich znacznie więcej niż tylko wspólna akcja.

Kiedy znaleźli się na dachu, odetchnęli z ulgą, oglądają swe zdobycze, widzą nad sobą gwiazdziste niebo i całkiem szczęśliwi, ruszają na spotkanie otchłani świata.

(przełożyła Ola Hnatiuk)

**PRÓBA DEZINFORMACJI**



W ciągu ostatnich kilku lat coraz częściej przychodzi mi odpowiadać na pytania wielu polskich przyjaciół tak czy inaczej związane z „kompleksem ukraińskiej geografii“: na ile głęboki jest podział Ukrainy na wschodnią i zachodnią? Czy w świetle takiego podziału można mówić o dwóch Ukrainach? Czy nie dopuszczam możliwości, że w nieodległej przyszłości nastąpi podział bardziej radykalny, utrwalony granicą państwową na Dnieprze albo - powiedzmy - na Zbruczu? I choć nie mam szczególnych podstaw, by podejrzewać moich polskich przyjaciół, że wykonują przy tym jakieś specjalne zadania służbowe, częstotliwość tych pytań i natrętność, z jaką mi się je zadaje, zmuszają do mimowolnej konstatacji - rzecz pachnie wywiadem. Niechby nawet nie w dosłownym, a w jak najszerszym czy też metaforycznym znaczeniu.

Nie sposób nie wspomnieć tu o jednej z ulubionych koncepcji amerykańskich sowietologów, zgodnie z którą rozpad Związku Radzieckiego pociągnie za sobą niechybnie rozczłonkowanie Ukrainy: jej wschodnia część stanie się satelitą Rosji, albo i dojdzie do jej całkowitego wchłonięcia, zachodnia zaś stanie się takim wiecznym, niezbyt przytulnym przedpokojem „nowej Europy“, dostarczającym taniej siły roboczej sąsiednim, bardziej zachodnim i szczęśliwszym krajom.

Charakterystyczne, że taka perspektywa generalnie raczej urządzała by i odwiecznego przeciwnika Ameryki - Rosję - i tychże bardziej zachodnich i szczęśliwszych sąsiadów.

Mnie jednak taka perspektywa niezbyt urządza, i - jak mi się zdaje - mam prawo do stawiania oporu. Jediną metodą, jaką mogę się przy tym posłużyć, jest dezinformacja. Tym bardziej że jest to metoda, którą niezmiennie posługuję się w swojej twórczości. Dezinformuję zawsze, o czym bym nie pisał; widać nie da się tego uniknąć. Nie dysponuję żadnymi danymi, oprócz ogólnie dostępnych, żadne służby nie dostarczają mi żadnych tajnych liczb ani też zestawień; nawet z internetu staram się nie korzystać. Pozostaje mi więc moje własne poczucie rzeczywistości, fantazmaty i fantomy, podróże, przechadzki - samotne i w tłumie, wieczorne, jak też poranne i dzienne knajpy, wiecznie spóźniające się pociągi, obserwowanie zmieniających się krajobrazów, pozostaje mi fikcja.

Spróbuję więc być konsekwentny bodaj w dezinformowaniu.

Zasadniczą podstawą dla istnienia wszelakich koncepcji i wersji dotyczących co najmniej „dwu Ukrain“ jest zapewne historia - zarówno w swym tysiącletnim wymiarze, jak i w wymiarze najnowszym ostatnich dziesięcioleci. „Wskutek historycznych uwarunkowań“ (wyrażenie to, rzekomo wszystko tłumaczące, nadzwyczaj często jest u nas używane, nierzadko fechtuje się nim w trakcie polemicznych pojedynków, a w dodatku - co jest typowe - posługują się nim akurat nie historycy) między Wschodem a Zachodem Ukrainy istnieje cały szereg istotnych różnic. Na tyle istotnych, że można mówić o nieomal katastrofalnych tendencjach odśrodkowych, ponieważ różnice te dotyczą zasad ładu społecznego i ustroju państwa.

Po pierwsze, poziom świadomości narodowej - jego przerost na Zachodzie i atrofia na Wschodzie. Po drugie - co wynika z powyższego - podział językowy (zgodnie z dominującym po dziś dzień stereotypem, Zachód jest rygorystycznie ukraińskojęzyczny, Wschód zaś raczej dwujęzyczny, z językiem rosyjskim w miastach i ro-syjsko-ukraińską mieszanką, czyli surżykiem, na wsi). Po trzecie wreszcie - podział ideologiczny na antykomunistyczny Zachód i komunizujący, czy raczej skomunizowany, Wschód. Wylizywanie tych, delikatnie rzecz ujmując, rozbieżności można w masochistycznym zapamiętaniu kontynuować, choć i samych

wyżej wymienionych w zupełności wystarcza dla wybuchu o niewiarygodnej sile i mocy. Gdy trzeźwo rozważa się tego rodzaju sprzeczności, dochodzi się do wniosku, że nafaszerowany takim materiałem wybuchowym twór państwowy ani pięciu minut nie powinien przetrwać.

Nie wszystko jednak jest tak beznadziejne, panowie analitycy! - przewidywany w prognozach, spodziewany wybuch jakoś nie dochodzi do skutku. Czy nie dlatego, że Ukraina jest raczej „niewybuchowa“? Być może wskutek historycznych uwarunkowań na Ukrainie, jak pisał Gogol do Maksymowicza ponad półtora stulecia temu, „nic się nie dzieje“.

A przecież jako przeciwwaga do dezintegracji nie mogą nie istnieć i realia integrujące, o których dość często zapominają, albo po prostu o nich nie wiedzą, najbardziej precyzyjni nawet analitycy. Te czynniki integrujące bazują, na istnieniu - jakby nie było - przez ostatnie sześćdziesiąt lat (z przerwą na n wojnę światową) jednolitego organizmu państwowego, jakkolwiek byśmy go nazywali - republiką związkową., kolonią czy też tworem państwowopodobnym. W tym czasie nie mogły nie pojawić się cechy wspólne i - co najważniejsze - to poczucie wspólnej mimo wszystko przynależności narodowej, które w tak jaskrawy sposób przejawilo się w grudniu 1991 roku podczas referendum (choć - jak to teraz przyjęto wyjaśniać - głosowanie „za“ oznaczało dla świadomego Zachodu i nieświadomego Wschodu dość różne rzeczy: pierwszy miał jakoby na uwadze niezależność jako ideę, drugi zaś - materialny dostatek).

Integruje samo życie, jego sposób, czy też raczej sposoby i warunki przetrwania, a wraz z nimi także aberracje mentalności. Zarówno mieszkańcy skrajnie zrusyfi-kowanego Donbasu, jak i mieszkańcy najbardziej nacjonalistycznej Galicji płacą mniej więcej takie same (i za to samo) łapówki przedstawicielom władzy, piją wódkę mniej więcej tej samej jakości, z mniej więcej tymi samymi skutkami, słuchają tej samej paskudnej muzyki rosyjskiego pochodzenia, przewożą ten sam bazarowy towar w jednakowych kraciastych przepastnych torbach, od października do kwietnia noszą jednakowe futrzane czapki z królika, objaśniają sobie egzystencję za pomocą jednakowych stereotypów i - co najważniejsze - z jednakowym zapalem kibicują kijowskiemu Dynamu oraz piłkarskiej reprezentacji Ukrainy (czynnik, który w ciągu ostatnich pięciu lat okazał się chyba jedynym pozytywnym elementem integrującym).

W tym poszukiwaniu cech wspólnych pozwoliłbym sobie pójść nawet dalej: zarówno „antykomunistyczny“ Zachód, jak i „skomunizowany“ Wschód na kolejnych wyborach zachowują się identycznie: za każdym razem wybierają polityków tego samego typu, wyglądających podobnie, bliskich pod względem myślenia, zachowania i rzucanych haseł, tyle że związanych z pozornie odmiennymi, czasem antagonistycznymi ugrupowaniami. W ostatecznym rozrachunku jednak właśnie orientacja polityczna okazuje się nieistotna. Istotne okazuje się co innego: walka o wpływy, majątek, ropę, gaz, las, pakiety akcji, dacje, mieszkania, samochody i - fantastyczne z punktu widzenia przeciętnego ukraińskiego wyborcy- konta w bankach zagranicznych.

Tak więc mówienie dziś o „przepaści między ukraińskim Zachodem i Wschodem“ wydaje mi się całkowitym anachronizmem. Tego, co wspólne, jest znacznie więcej niż tego, co różne. To rzeczywiście jeden kraj - inny niż Turcja, inny niż Polska, inny nawet niż Rosja, ale jak różny zarazem!

By wniknąć w przyczyny i przejawy tej różnorodności, trzeba, zacząć ab ów.

Warto raz jeszcze przyjrzeć się, skąd się to wzięło, skąd ten „historycznie uwarunkowany“ podział. Dlaczego Wschód i Zachód, a nie - powiedzmy - Północ i Południe, jak, nie przymierzając, w jakiejś normalnej Ameryce?

Obecność w ukraińskim XVI i XVII wieku czynnika polskiego (Rzeczpospolita) i rosyjskiego (Carstwo Moskiewskie) rzeczywiście doprowadziła w drugiej połowie XVII wieku do pierwszego podziału - na Prawobrzeże i Lewobrzeże. Naturalną granicą stał się Dniepr, a smaku intrydze dodawał czynnik turecko-tatarski, pretendujący do Południa. Z tej konstelacji mogły powstać nie „dwie Ukrainy“, a co najmniej trzy, z muzułmańską włącznie, tak więc podstaw dla zróżnicowania byłoby znacznie więcej. Jednakże wskutek znanych wydarzeń dziejowych już sto lat później, pod koniec XVIII stulecia, podział wzdłuż Dniepru zdezaktywizował się, a czynnik turecko-tatarski zniknął całkowicie. Pojawił się natomiast austriacki, później austro-węgierski, a granica podziału Ukrainy przesunęła się na zachód.

Świadomość narodową i językową Ukrainy Zachodniej często tłumaczy się właśnie wpływem czynnika austro-węgierskiego. Utrzymuje się, że podczas gdy Rosja niszczyła i rusyfikowała na Wschodzie, matczyńska Austria wspierała i wspomagała na Zachodzie. Jednakże nie całkiem wyjaśnia to istnienie kolosalnej różnicy między regionami tegoż samego ukraińskiego Zachodu. Nie jest on bowiem taki jednorodny, jak by to się mogło wydawać z perspektywy Doniecka czy nawet Kijowa. Dlaczego w tej samej Austrii zupełnie różny poziom świadomości narodowej miały „najbardziej ukraińska“ Galicja i „marginalne“ Zakarpacie czy też całkiem „nijaka“ Bukowina? Może wpłynął na to fakt, że austro-węgierska administracja w Galicji była podówczas polska? Bo przynajmniej w tym właśnie regionie dominowali Polacy. Może więc wszystkie te różnice powstały na skutek „czynnika polskiego“? Czy też raczej „antypolskiego“? Przypuśćmy, że administracja polska traktowała autochtonów na tyle brutalnie, że Ukraińcy w Galicji znacznie radykalniej rozwinęli świadomość narodową aniżeli zakarpaccy Rusini pod węgierską, następnie czechosłowacką, czy bukowińscy pod austriacką, a potem rumuńską administracją. Może świadomości narodowej galicyjscy Ukraińcy tak naprawdę nauczyli się od Polaków? Czy też - nie odrzucajmy i takiej możliwości - zostali do niej przez Polaków zmuszeni?

Tak jest przynajmniej w przypadku Wołynia, który ani przez chwilę nie pozostawał w granicach Austro-Węgier, za to miał wspólne z Galicją międzywojenne dwudziestolecie w granicach II Rzeczypospolitej i jest niewątpliwie drugim pod względem poziomu świadomości narodowej regionem Ukrainy. Wróćmy jednak do pierwszego regionu.

Zdaje się, że każdy kraj musi mieć swój najbardziej konserwatywny i najbardziej tradycyjny region, ot, taką Bawarię. Na Ukrainie tym regionem jest Galicja, właśnie tak - nie cały Zachód, a jedynie jego część, nasz, jak go nazywano w 1918 roku, miejscowy Piemont, obszar składający się faktycznie z trzech obwodów zgodnie z dzisiejszym podziałem administracyjnym, za to z niezliczoną ilością pomników Szewczenki, wyszywanymi rękawicami, serwetkami, nieco śmiesznym kozakofilstwem, głęboko zakorzenionym patriotyzmem państwowym, symbiotycznie zespolonym z komunistyczno-socjalistycznymi poglądami na sprawiedliwość społeczną, jak też z religijnością przejawiającą się w przywiązaniu do zwyczajów i obrzędowości. Jest także odwrotna strona tego medalu - napięte stosunki wyznaniowe, a nawet wrogość, panująca przede wszystkim między grekokatolikami a dwoma odłamami prawosławia - czynnik burzący i deformujący nawet tę małą galicyjską jedność. „Bo dla Ukraińca ważniejsza jest ilość wyszytych rękawic w jego cerkwi niż jakieś tam Kazanie na Górze“ - te słowa mego znajomego poety Ro-ścisława Martoflaka dotyczą przede wszystkim Galicjan.

Galicji „przeciwstawia się“ (cudzysłowu użyto dla podkreślenia całkowitej umowności użytego czasownika) nieporównywalnie większy pod względem obszaru, ludności oraz potencjału gospodarczo-finansowego zupełnie zrusyfikowany Wschód i Południe. To właściwie obszary niemal metafizycznej przestrzeni, tego dziejowego Dzikiego Pola, dokąd w dawnych czasach Ukraińcy uciekali przed zniewoleniem, pogardą, wyzyskiem, prześladowaniami religijnymi, a przede wszystkim przed sobą. Osiedły tryb życia, zakorzenienie „właściwie ukraińskiego“ bytu właśnie tu wyparła anarchiczna, rozwichrzona swawola, syndrom perekotypola - dziwnej rośliny stepowej, pędzonej wiatrami przez obszary tego nieogarnionego, coraz bardziej euroazjatyckiego świata.

Ekstremalną jego częścią był i pozostał Donbas - najbardziej jak tylko można na wschód wysunięta Ukraina. Zgodnie z do niedawna jeszcze obowiązującą nomenklaturą - robotniczy, przemysłowy, czerwony Donbas, Donbas-hegemon. Niestety, to określenia do dziś aktualne (co prawda brzmiące raczej sarkastycznie), właśnie jeśli chodzi o Donbas. Podróż w Donieckie to, wedle wielu obserwatorów, wyprawa w przeszłość, co więcej - w przeszłość w katastrofalny sposób zniszczoną i zaniedbaną, choć żadna przyszłość nie nadeszła, by ją zamienić. Dziś już nikt nawet nie wierzy, że nadejdzie. Elementy nowego designu, świeżo malowane na europejskie kolory fasady starych kamienic, mnóstwo przytulnych kawiarenek i niewielkich restauracji, prywatne sklepiki z egzotycznymi towarami - wszystko to, co w innych regionach, przede wszystkim na Zachodzie i w Kijowie, przynajmniej w pewnej mierze równoważy skutki ogólnie nieudanej „polityki reform“, w Donbasie jest nieobecne. Jest tylko ogólne spustoszenie i głębokie przeświadczenie, że wraz ze Związkiem Radzieckim utracono jeśli nie raj na ziemi, to przynajmniej „normalne życie“. Toteż wyjście jest tylko jedno: głosować na komunistów, którzy obiecują powrót tego normalnego życia w pięć minut po swoim powrocie do władzy.

Idea narodowa w Donbasie faktycznie nie ma żadnych podstaw. Wedle pewnego socjologa „Donbas to kraina przesiedleńców, a większość jego mieszkańców zapuściła tam korzenie właśnie za czasów radzieckich. Wcześniejsza, przedradziecka historia Donbasu w ludowych opowieściach czy legendach praktycznie nie istnieje. Wielu doniecczanom związek «Donbas - węgiel - władza radziecka\* wydaje się naturalny i nierozzerwalny“. I jedyny możliwy, dodałbym.

O stereotypach, którymi karmi się tamtejsza świadomość potoczna, najlepiej świadczą słowa, przytoczone przez mojego przyjaciela Wiktora Neboraka. Na początku lat osiemdziesiątych został on, wówczas jeszcze nie bubabista, ale już młody poeta, dosłownie zesłany na Donbas, by uczyć języka ukraińskiego (!) w górniczej szkole zawodowej (!!). „Nauczycielu - powiedział mu jeden z uczniów, bo tak się wówczas do niego zwracano - nauczycielu, nie uczcie nas waszego języka. Ukraina jest tu, a wasza Banderowszczyzna - to Polacy“. Mniej więcej tak samo zdecydowana większość myśli po dziś dzień. Przy tym i „Ukraina“, i „Banderowszczyzna“ to swoiste pojęcia geograficzne, coś w rodzaju zupełnie odmiennych, oddalonych od siebie prowincji.

Donbas jest równie konserwatywny, jak Galicja, tyle że to inny konserwatyzm., proletariacki, czy też - zgodnie z najnowszymi przeobrażeniami społecznymi - lumpenproletariacki.

A między tymi dwoma biegunami konserwatyzmu - Galicją i Donbasem - leży „reszta Ukrainy“ z jej raczej inercyjnym centrum. Inercja wzrasta, w miarę jak przemieszczamy się z

zachodu na wschód. Albo na odwrót - kroczy niczym dzuma ze wschodu na zachód, siejąc wokół jedynie rozczarowanie, zwątpienie, niemoc i rosyjski sposób postrzegania świata.

„Oni nas zasymilują! - rzekł do mnie niedawno jakiś młody mieszkaniec Galicji, aspirujący do bycia intelektualistą. - Jest ich więcej, musimy się od nich oddzielić, bo nas zasymilują! Chorwaci to w porę zrozumieli, a kiedy my to pojmiemy?“.

Wyglądem zupełnie nie przypominał reprezentanta jakiegś Pomarańczowej Alternatywy. Tak więc, jeśli nie był agentem, znaczy to, że był separatystą z przekonania.

O separatyzmie na Ukrainie zaczęto mówić prawie jednocześnie z proklamowaniem przez nią niepodległości, a nawet wcześniej. Szczególnie w Rosji sądzono, że od niezawisłej Ukrainy rychło odłączy się przede wszystkim Krym, a za nim i niektóre inne regiony położone, rzecz jasna, tamże - na Wschodzie i Południu. Zresztą tylko patriotyczny Zachód i stołeczno-administracyjny Kijów można było uważać za stuprocentowo lojalne w stosunku do nowego państwa. Na pozostałym obszarze sprawa wyglądała o wiele bardziej dwuznacznie, a wędrowni emisariusze „jedności słowiańskiej“ nie uważali walki o Charków, Połtawę, Dniepropietrowsk czy nawet Winnicę za całkiem beznadziejne zadanie.

A jednak najczęściej wymieniano dwa separatystyczne projekty: donbaski (tzw. Republika Donbasko-Krzy-woroska) - obejmujący obwody: łużański, doniecki, częściowo charkowski i dniepropietrowski - oraz nowo-rosyjski (od nazwy Noworosyjskiej Guberni za caratu), czyli obwody: odeski, mikołajowski, chersoński, zaporoski i Krym. Te projekty zasadały się na tym, że obydwie regiony charakteryzują się najniższym poziomem ukraińskości i najwyższym stopniem niezadowolenia społecznego ze zmian, z „całej tej niepodległości“, uznając ją za zwykłą intrygę sprzedajnych „banderowców z Galicji“ oraz przefarbowanej biurokracji kijowskiej.

Jednakże do żadnej secesji, do żadnego powstania Donbaskiej czy Noworosyjskiej Robotniczo-Chłopskiej Republiki na razie nie doszło. Stało się coś - według mnie - gorszego: pozostając w granicach Ukrainy, regiony te de facto przesadzają, o społeczno-politycznej sytuacji państwa. Charakteryzują się bowiem najwyższą na Ukrainie gęstością zaludnienia (dość powiedzieć, że w całości czerwona reprezentacja jednego tylko obwodu donieckiego jest w parlamencie liczniejsza, od razem wziętych reprezentacji wszystkich trzech „najbardziej świadomych“ obwodów). Również najwyższa. - na skutek permanentnego niezadowolenia ze stanu rzeczy ~ jest aktywność tego regionu podczas wyborów. To oni właśnie wybrali dla Ukrainy „swoich“ prezydentów - w 1991 roku „najmniej nacjonalistycznego“ Krawczuka, który w 1994 roku przepadł ich głosami na korzyść Kuczmy, otwarcie prorosyjskiego w swych obietnicach. Teraz też po pierwszej turze wyborów prezydenckich '99 właśnie oni mogą zgotować porażkę Kuczmie na korzyść komunistycznego kandydata Symonenki (wyniki pierwszej tury świadczą o jego istotnej przewadze właśnie w obwodach donieckim, łużańskim, charkowskim, zaporoskim i na Krymie; w drugiej turze ta przewaga może po raz kolejny okazać się decydująca).

Ciekawe, że zarówno Krawczuk w 1991 roku, jak i Kuczma w 1994 zdobyli na Zachodzie (przede wszystkim w Galicji) po prostu żaloszny odsetek głosów, co nie przeszkodziło im w zdobyciu prezydentury. Są wszelkie podstawy po temu, by sądzić, że i prezydenta, i większość w parlamencie wybierają Wschód i Południe. Galicję można sobie podczas wyborów odpuścić - o niczym dla Ukrainy jako całości nie decyduje.

Dla mieszkańców Galicji uświadomienie sobie tego nie było rzeczą prostą. Ale już gdzieś w 1994 roku we Lwowie dało się słyszeć głosy: niezależnie od tego, na ile byśmy my, Galicjanie, byli politycznie dojrzałi, kulturalni, proeuropejscy, antykomunistyczni, z powodów czysto arytmetycznych wciąż będziemy przytłoczeni przez anachroniczny, komuno-radziecki twór państwowy. Co to? Błędne koło? Fatum? Nieuniknione zło, z którym trzeba, się godzić w imię „integralności terytorialnej państwa“? A jeśli z tym skończyć i dokonać secesji? Przecież „nas zasymilują“! Jest ich więcej!

To jeden z paradoksów ukraińskiej historii najnowszej - właśnie po uzyskaniu niepodległości na Ukrainie zrodził się jeszcze jeden separatystyczny projekt, nazwijmy go galicyjskim. Jako że wśród jego zwolenników przeważają ludzie młodzi, w dodatku reprezentujący dość specyficzny krąg, głównie środowisko bohemy, są wszelkie podstawy po temu, by oceniać to zjawisko jako w dużej mierze „pomarańczowe“. „Za Zbruczem nie mamy ojczyzny“, „Wiedeń leży bliżej niż Kijów“, „Zachód to Zachód, a Wschód to Wschód“ - owe maksymy, choć wypowiedziane nie tyle z patosem, ile z ironią, mimo wszystko są pewnymi znakami rozpoznawczymi dla wtajemniczonych, elementami jakiejś nowej gry, dość ryzykownej, a przez to wciągającej. Do ziszczenia się tych słów na razie jest strasznie daleko. (Choć już po 14 listopada - dniu, kiedy odbędzie się druga tura głosowania - może stać się strasznie blisko, a gra przestanie być grą).

Ale od czego zacząć? Od przygotowania plebiscytu? Referendum? Wyborów konkurencyjnych wobec ogólnoukraińskich? Zwrócenia się do Rady Europy?

Może na początek warto po prostu przejść na alfabet łaciński. Przetawić zegarki o godzinę do tyłu. Wprowadzić kalendarz gregoriański.

Jednym z kluczowych dla wewnątrzukraińskich napięć problemów był i pozostaje nadal problem języka. Dla mnie osobiście, jako że właśnie język jest moim podstawowym instrumentem w stosunkach z resztą świata, jest to niewątpliwie podstawowy problem. Właśnie w tej dziedzinie - funkcjonowania języka, posługiwania się nim, a czasem wręcz dyktatu języka - staram się być jak najwrażliwszy.

Najbardziej rozpowszechniony - zarówno na Ukrainie, jak i poza jej granicami - stereotyp dotyczący naszej sytuacji językowej polega na przekonaniu o ukraińskim bilingwizmie. Wskutek historycznych uwarunkowań Zachód rzekomo mówi nieomal wyłącznie po ukraińsku, zaś na Wschodzie w różnych proporcjach współlistnieją dwa (czy nawet trzy) języki - ukraiński i surżyk przeważnie na wsi, rosyjski i surżyk - przeważnie w miastach.

W rzeczywistości jednak ostatnie dziesięciolecie przyniosło tu znaczne zmiany. Paradoks (i znowu gorzki paradoks, niech to diabli!) polega na tym, że obecne dziesięciolecie zaczęło się od nadania językowi ukraińskiemu statusu języka państwowego. Znaczyło to, że dostał on ważny impuls do rozwoju we wszystkich dziedzinach i na wszystkich szczeblach, a z czasem miał zastąpić język rosyjski jako „język dnia wczorajszego“. Faktycznie stało się coś przeciwnego - właśnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat (a z nich w największym stopniu przez osiem lat niepodległości) język ukraiński stracił bardzo na swojej pozycji.

Przyczyn tego jest pewnie ze dwadzieścia, to właściwie cały zespół przyczyn i skutków. Jednakże najważniejsza, z nich - według mnie - jest przyczyna czysto psychologiczna: nieatrakcyjny wygląd własnego państwa w oczach większości obywateli. Stąd też i nieatrak-

cyjność języka tego państwa, czyli języka państwowego. Tym bardziej że żaden mąż stanu nikogo specjalnie nie zmusza do posługiwania się tym językiem.

Sytuacja językowa Ukrainy pod koniec stulecia przedstawia się następująco: ukraińsko-rosyjski bilingwizm istnieje już tylko na Zachodzie. Choć w Galicji rosyjskiego jest w odczuwalnym stopniu mniej, nie ma żadnych problemów z posługiwaniem się nim. Można zupełnie spokojnie mieszkać we Lwowie i rozmawiać wyłącznie po rosyjsku. Trudno sobie natomiast wyobrazić zwierciadlane odbicie tego zjawiska na przykład w Doniecku albo na Krymie. Straceniec, który zapragnąłby z zasadniczych powodów rozmawiać po ukraińsku, żyłby w nieustającym stresie. „Galicyjscy nacjonałiści“ okazują się znacznie bardziej tolerancyjni (a może po prostu są bardziej obojętni?) od „internacjonalistów“ z Donbasu.

Wschód Ukrainy dziś już nie jest bilingwistyczny, lecz rosyjskojęzyczny, przy czym nawet pod względem fonetycznym ten rosyjski traci stopniowo swoje ukraińskie cechy (czyli to, co w Moskwie nazywają „akcentem południowym“, na przykład sławne frykatywne „h“). Młodzież dniepropietrowska, połtawska i czerkaska posługuje się obecnie całkiem już zunifikowanym moskiewsko-petersburskim językiem rosyjskim, z wszelkimi charakterystycznymi leksykalnymi ozdóbkami oraz slangowymi innowacjami. Zjawisko to samo w sobie nie byłoby niczym złym, gdyby młodzież ta mówiła nie tylko po rosyjsku.

A cóż z surżykiem, gdzie jest ten nasz kochany potworek, dziwaczny mieszaniec, dziecię kazirodzkiego bilingwistycznego związku? A tam, gdzie być powinien - czyli tam, gdzie bilingwizm. Już nie na Wschodzie, a na Zachodzie. Właśnie surżykiem posługuje się znaczna część zachodnioukraińskiej ludności, łącznie ze „świadomymi Galicjanami“. Na Wschodzie zaś surżyk naprawdę zanika wraz z wyludniającymi się wsiami i miasteczkami oraz wymierającymi w nich starszymi ludźmi.

Tak więc surżyk kroczy na zachód, towarzysząc zwycięskiemu marszowi „wielkiego i potężnego języka rosyjskiego“, jak pisał Iwan Turgieniew. Ukraiński nie ma gdzie się wycofać - przecież nie do Polski i nie na Słowację czy Węgry! Czy znaczy to, że „oni“ naprawdę nas zasymilują?

Jako jeden z tych, którzy uważają się za pisarzy (niech się nazywam po prostu NN), czasem szczycę się tym, że w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat zdobyłem na wschodzie Ukrainy pewną liczbę zainteresowanych, absolutnie rosyjskojęzycznych czytelników, którzy właśnie dzięki moim utworom po raz pierwszy w życiu zaczęli czytać po ukraińsku. Ale nigdy jeszcze - teraz robię to po raz pierwszy - nie zastanawiałem się nad tym, ilu absolutnie ukraińskojęzycznych czytelników tracę co dzień tu, na Zachodzie, tylko dlatego, że przestają mnie już rozumieć|

Lumpenizacja na Ukrainie to nie tylko „kupno-sprzedaż“, szare twarze, dresy, krótko ostrzyżone głowy. To także prymitywna rusyfikacja, język składający się z dwustu słów, ot, taki pidgin Russian. Jest to zresztą język najbardziej poważanych w naszym społeczeństwie ludzi - bandyckich autorytetów, gwiazd muzyki pop, sportsmenów, nuworyszy. Tym ludziom dla osiągnięcia wyżyn w społeczeństwie język ukraiński do niczego się nie przydał, myślą sobie przeciętni Ukraińcy. To po co on nam?

Jeśli tak dalej pójdzie, to zupełnie realna wydaje mi się perspektywa prawie całkowitego wyrugowania języka ukraińskiego z codziennego użytku w ciągu jednego, dwu pokoleń.

Jednak całkiem realna jest i odwrotna perspektywa. Naprawdę nie znam sumy wszystkich czynników, od których jest to uzależnione. A może od nich w ogóle nic nie zależy? Bo Ukraina to kraj baroku. Wszystko tu jest szalenie skomplikowane, bardzo niejednoznaczne, a jednocześnie na tyle ze sobą powiązane, że wszelkie związki tracą sens, a krótkotrwałych tendencji jest nie mniej niż stałych. Wygra kijowskie Dynamo z moskiewskim Spartakiem - i patriotyzm wzrasta, nawet w sferze posługiwania się językiem ukraińskim. Podrożeje wódka albo benzyna - i patriotyczne uczucia milkną.

Naprawdę nie wiem, jak bym głosował w wymyślnym referendum „w sprawie secesji“. Możliwe, że zachodniukraińscy „pomarańczowi separatyści“ powinni zastanowić się nie nad tym, jak uciec przed resztą Ukrainy, a nad tym, jak się pozbyć, powiedzmy, Donbasu. Ile problemów by się rozwiązało! Komunistyczny elektorat zmniejszyłby się o całe miliony, katastrofalnie nierentowne górnictwo przestałoby osłabiać i bez tego chorą gospodarkę narodową, a do tego i mniejsza liczba bezrobotnych, i bandytów mniej, i wypadków w kopalniach, i rosyjskiego, i ludzi. Tylko jak ich tam wszystkich przekonać, żeby się odłączyli?

Najbliższe lata, a może i miesiące pokażą, jak mam głosować w tym, choćby wymyślnym, referendum.

(Zacząłem kreślić te dezinformujące notatki w dniu, kiedy Ukraina wybierała prezydenta. Kończę w dniu, kiedy wciąż jeszcze nie został wybrany, choć rezultaty pierwszej tury potwierdziły chyba najgorsze z prognoz. Najpewniej i przez następne pięć lat ten kraj nie ma szans na normalność. Chciałbym się mylić).

Choć właśnie takim jak ja na tym świecie zawsze pozostaje jeszcze coś: eskapizm, twierdza z alkoholu, seksu i muzyki, wewnętrzna albo i realna emigracja, niezaan-gażowanie, nieobecność, pisanie - jeśli naprawdę przycisną - do szuflady, samotność i gorycz. Jak też pewna doza nadziei, zwięźle dająca się ująć w bliskiej od wczesnego dzieciństwa formule „Boże wielki i jedyny, chroń naszą Ukrainę“.

10 listopada

Zamiast epilogu, albo koniec wieńczy dzieło

Druga tura wyborów prezydenckich, która odbyła się w kilka dni po tym, jak skończyłem te nieco ryzykowne! notatki, przyniosła pewne nowe i niespodziewane wyniki, dlatego przedstawiony wyżej ogląd warto uzupełnić.

Po podliczeniu głosów okazało się, że pięciomilionową przewagę, uzyskaną przez prezydenta Kuczmę nad jego czerwonym przeciwnikiem, dał mu jednak Zachód. Po raz pierwszy w ukraińskiej historii najnowszej Zachód zwyciężył - wybrano tego, na którego głosowano przede wszystkim w Galicji (we wszystkich trzech obwodach na Kuczmę głosowało ponad 90 procent wyborców). Rzecz jasna, były to głosy nie tyle „za“ (rozczarowanie rządami Kuczmy w Galicji jest również dość znaczne), ile „przeciw“ - przeciwko komunistom. Jeden z komentatorów telewizyjnych już w poniedziałek rano stwierdził, że w przeddzień na Ukrainie wreszcie miała miejsce pokojowa antykomunistyczna rewolucja. We are the champions!

Kolejna zadziwiająca nowina - na Wschodzie po raz pierwszy przejawiała aktywność młodzież. Zapewne zmasowana półroczna kampania prezydencka - koncerty muzyki pop na stadionach i powtarzane wciąż hasło „Nie pozwól komuś wybierać za ciebie twojej



przyszłości!“ - jednak dała skutek. „Komuś“ to znaczy, oczywiście, prosowiecko nastrojonym starszym ludziom, tej najbardziej gwałtownej opozycji, stałemu komunistycznemu elektoratowi. Głosy młodzieży po raz pierwszy zrównoważyły sytuację, dzięki czemu nawet w obwodzie donieckim (!) Kuczma zdobył nieco więcej głosów niż jego rywal (choć mimo to tradycyjnie przegrał w obwodzie łuzańskim, charkowskim i na Krymie). Największą jednak niespodziankę nowej-starej głowie państwa zgotował tym razem nie czerwony Wschód i Południe, ale zawsze lojalny, prawobrzeżny, „kułacki“, dostatni, obfitujący w czarnoziem obwód winnicki. Właśnie tam zebrał on najmniej głosów - zaledwie 17 procent.

(I teraz naprawdę już nie wiem, co od czego oddzielać).

(przełożyła Ola Hnatiuk)

## **CZAS I MIEJSCE ALBO MOJE OSTATNIE TERYTORIUM**

Zapraszając mnie do wzięcia udziału w tym zebraniu, Jarosław Hrycak uprzedził, że moje wystąpienie miałoby być głosem „w obronie postmodernizmu“; w tym miejscu pozwolę sobie na jeszcze jeden cytat: „postmodernizmu z ludzkim obliczem“.<sup>2</sup> Nie pozostawało mi nic innego jak przyjąć do wiadomości jego propozycję i zgodzić się na owo dość niewdzięczne zadanie. Wydaje się, że sam precedens wyniknięcia takiej apologetycznej potrzeby świadczy o pewnym zdenerwowaniu, posianym w naszych środowiskach intelektualnych w ostatniej dekadzie, zdenerwowaniu, które pojawiło się w momencie wprowadzenia w obieg tego śliskiego pojęcia. I rzeczywiście, w końcu nastąpiły czasy, kiedy postmodernizmu nie krytykuje u nas tylko leniuch albo trup. Osobiście uważam się za człowieka żywego i nie leniwego, dlatego z radością dołączyłbym do grona napastników. Tym bardziej że - jak mi się wydaje - praktyka napastników jest na ogół jasna, konsekwentna i przynosi wygraną. Pewnego razu próbowałem usystematyzować i wyliczyć wszystkie (albo przynajmniej najczęściej używane) zarzuty wysuwane przeciwko postmodernizmowi i wyszło mi, że:

- 1) prawie wyłącznie zajmuje się cytowaniem, tworzy kolaże, montaże, pasożytuje na tekstach poprzedników;
- 2) absolutyzuje grę dla gry, wyłączając z dyskursu żywy autentyzm kreacji, doznań, ducha i duszę, powagę narracji i nadnarrację;
- 3) podkopuje wiarę w Przeznaczenie Literatury (bez względu na to, kto i co przez nie rozumie); a zatem oznacza śmierć literatury;
- 4) ironizuje ze wszystkiego na świecie, także z ironii samej, odrzucając wszelkie systemy etyczne (a właściwie - jedynie „szczątki systemów etycznych“) oraz dydaktyczne wymagania (ściślej - „echo owych wymagań“);
- 5) niby-indywidualne autorskie „ja“ wytwarza z resztek innych autorskich światów; a więc postmodernizm to jeszcze raz śmierć, śmierć autora jako twórcy własnego indywidualnego świata autorskiego;
- 6) wykorzystuje „karnawałową“ (choć w rzeczywistości jedynie postkarnawałową) maskę, by uniknąć jakiegokolwiek odpowiedzialności przed Otoczeniem i za Otoczenie;
- 7) prymitywnie eksperymentuje z językiem (językami), mechanicznie powiększa sumę chwytów, metod i środków oraz ich wzajemnych wariantów, a zatem, po raz trzeci - „ze znużeniem i smutkiem ogłaszamy śmierć“...
- 8) niewolniczo płaszczy się przed światem wirtualnym, multimedialnymi przepaściami i potworami, sztukę pragnie podporządkować komputerowym imperiom, a jej ducha na wieki pogrzebać w wirtualnej sieci;
- 9) flirtuje z kulturą masową, demonstrując niesmak, wulgarność, nie gardząc „sekssem, sadyzmem i siłą“;
- 10) rujnuje hierarchie, podmienia fundamenty, pozbawia sensu, rozmywa granice, słowa - a więc samą rzeczywistość - bierze w cudzysłów, chaotyzuje i bez tego chaotyczny byt, ironizuje, cytuje, kolażuje, kompiluje... no tak, to wszystko już było.

---

<sup>2</sup> Tekst został napisany na konferencję Post-modern czy post-mortem? (Uniwersytet im. Iwana Franki, Lwów, styczeń 1999).

A zatem o postmodernizmie pozostaje powiedzieć, że jest:

- a) agnostyczny, agonizujący, ambiwalentny, amerykański, anemiczno-mimetyczny
- b) „bez granic otwarty jak głuchy kąt“, bezpłodny, bi-(i bardziej-) seksualny
- c) centonowy, cyniczny, cytokratyczny
- d) dyskursywnie defekacyjny
- e) egalitarny, entropijny, eleacki, eklektyczny, epigo-nomiczny
- f) felietonistyczny, feminizowany, fełinizowany, fragmentaryczny
- g) gwałtowno-pretenjonalny
- h) hermafrodytyczny, heterosemantyczny, homohe-retycki
- i) imitacyjny, impotencyjny, intertekstualny, incestu-alny
- j) jałowy
- k) klipowy, kolażowy, kolapsowy, kombinatorsko-kompilacyjny, kompilacyjno-komputerowy, komformistyczny, konsumpcyjny
- l) lobotomiczny
- ł) łamigłówkowo-łupany, łatwopalny
- m) manieryczny, manierystyczny, martwy, markotny, mdlący
- n) nadmierny, neo-nekrofilijny, nowo-neurotyczny, nudny
- o) ontologicznie marginalny
- p) palimpsestowy, pasożytniczy, patowy, patologicznie przesycony, perwersyjny
- r) rekreacyjny, reminiscencyjny, rozdziawiono-gębno--ziewający
- s) syty, sytuacyjny, strukturojedny i strukturojadny
- sz) sztojeszczio skazat' nie znaju
- t)
- u) uraniczny
- w) wariantywny, wtórny, wulgaryzatorski

y) yo-yo-zabawny

z) zakompleksiało-zboczony

ż) ździebko szatański

ż) żartocentryczny, żydomasoński.

Oprócz tego charakteryzuje się go jako „postkolo-nialny“ i „posttotalitarny“, ale to niczego nie wyjaśnia, szczególnie u nas.

Oprócz tego jest „nijaki“.

Mawia się czasem, że coś podobnego już było: epoka aleksandryjska, jesień średniowiecza, fin de siecle'owy dekadentyzm, każda wyczerpana/przesycona formacja kulturowa. Zjawisko to można przekonywająco wiązać z zakończeniem pewnego etapu chronologicznego odliczania, na przykład z granicą tysiącleci.

Niektórzy skłonni są uważać, że postmodernizm zaczyna się tam, gdzie zaczyna się - przepraszam za tautologię - autorska autorefleksja. Tam, gdzie tekst przestaje być środkiem i staje się celem, tam właśnie znajdują się granice i posterunki kontrolne postmodernizmu. Tam, gdzie autor zapomina o przesłaniu i zakochuje się sam w sobie, tam, gdzie pojawia się autor-narcyz - tam początek końca. A ponieważ tak było zawsze, zatem i postmodernizm był zawsze, co znaczy - nigdy.

Gubię się wśród tej różnorodności. Pozostaje mi poszukiwanie wyznaczników i określeń wyłącznie osobistych. Rozglądam się wokoło - gdzie jestem?

Zamieszkuję część świata od wieków podejrzaną i znieważaną. Owa część świata zwie się Galicją. Może właśnie z tego powodu nie pozostaje mi nic innego tylko uznać,

że sam również jestem postmodernistą. Oczywiście to żart, ale niezabawny.

Istnieją regiony prawdziwe, niepodzielne nawet w swej ruinie i potworności. Natomiast Galicja jest na wskroś sztuczna, zszyta do kupy białymi nićmi pseudohisto-rycznych domysłów i politykierskich intryg. Po stokroć mają rację ci, którzy twierdzą, jakoby Galicja jest liczącym sobie zaledwie sto pięćdziesiąt lat wymysłem kilku austriackich ministrów. Że jest manierystyczno-słodk-wą idee fixe pewnych zakonspirowanych strategów, którzy swego czasu postawili przed sobą chimeryczny cel przedłużenia Europy jeszcze trochę na Wschód. Europa im nie wyszła, natomiast powstał taki sobie bufor, rodzaj „kordonu sanitarnego“. Biedny Franko uległ owej mistyfikacji, stąd wzięły się wszystkie jego nieszczęścia, dezorientacja oraz syzyfowa działalność.

Z perspektywy Polesia, na przykład, kraj ten wygląda dość karykaturalnie. Przecież Polesie, ta kosmiczna pogańska kołyska „w widłach“ Prypeci oraz Desny, z jego aryjską czystością korzeni i derewlańską niezmaçonnością źródeł, z jego fundamentalnymi kodami genetyczno-kulturowymi, z najbardziej archaicznym folklorem, eposem, dialektami, jeziorami, torfowiskami, gotyckimi sosnami, pułapkami na zwierzęta i ludzi, ze zranionymi wilkami, Polesie - to narodowy substrat, czarnobyłski wybór Ukrainy, to sama prawda, to grubo ciosana autentyczność i szczerłość, karny pochod mesjasza Onoprijenki wzdłuż torów

kolejowych i szos.<sup>3</sup> Polesie to powolność i ponurość, to czas doprowadzony prawie do całkowitego zatrzymania, pełzająca komunistyczna wieczność, która ze wszystkich stron obiegła po stokroć rozpustny Kijów, to sama głębia czarnej ukraińskości.

Z perspektywy Polesia Galicja nie istnieje, ściślej mówiąc, istnieje, lecz nie ma to żadnego znaczenia.. Galicja to nie Ukraina, lecz jakiś taki geograficzny dodatek, polska halucynacja. Galicja jest jak manekin, jak nadmuchiwana lalka, zawsze i we wszystkim stara się narzucić Ukrainie swą nieukraińską wolę, wydestylowaną w jakichś tajemnych syjońskich laboratoriach. Galicja nie posiada eposu, od zarania dziejów panuje tu anegdota, a przy tym - podła. Właściwie jest to przestrzeń bez korzeni, odpowiednia dla rozmaitych plemion wędrownych - stąd biorą się Ormianie, Cyganie, Karaimowie, chasydzi. Galicja to małomiasteczkowa ojczyzna masonerii i marksizmu. Galicja jest obłudna i fałszywa, jest śmierzącym zwierzyńcem wypełnionym jeżozwie-rzami i chimerami, w Galicji możliwe są jedynie wyrodki, takie jak Bruno Schulz, albo wszystkie te maleńkie stanisławowskie kafki, a jeśli nie jesteś wyrodkiem, lecz na przykład Stefanykiem, to pozostaje ci nieuchronnie upijać się w pierwszym lepszym Rusowie. „Między innymi dziś w Iwano-Frankiwsku mamy już więcej geniuszy niż w Moskwie“ - ironizuje w swojej najnowszej moskiewskiej książce kłujący Igor Klech, też galicjanin, też geniusz.

Ironiczny ton, jak nigdy, jest tu zupełnie odpowiedni. Cała Galicja jest ironiczna, i stąd bierze się owo wieczne odszczepieństwo i mimikra, permanentne uniactwo, sprzedane do Ameryki dzieci. Galicja - jak przypinane mankiety - to pańskość powierzchowna i na pokaz, żalodne przymilanie się do każdego, całowanie rączek i klamek, ale z nieodłącznym wioskowym przycmoki-waniem, to nieskończone i na pół senne, z ciężką poobiednią oskomą rozmowy o Europie, Juropie, Ojropie, o europejskości, europejskim znaczeniu-przeznaczeniu, europejskiej kulturze i kuchni, o drodze do Europy, o tym, że „i my też należymy do Europy“, a tymczasem cała tzw. „duchowa produkcja“ Galicji może zmieścić się w jednej jedynej lwowskiej walizce średnich rozmiarów. Galicję stać tylko na usilne naśladowanie Europy, która skądinąd sama już dawno niczego nie może (jeszcze Spengler to powiedział!). Galicja to plagiat, tym bardziej godny pożałowania, że plagiator za przedmiot plagiatu wybrał obiekt właściwie już martwy. Cała reszta to kawa, domowe likiery, torty i ciasteczka, dyktatura gospodyń domowych, wyszywanie serwetek, to również powidła i dzemy, obrusy, kilimy, niesmak i kicz, słowem - rozkwit całą gębą galicyjskiego mieszczaństwa.

Z perspektywy Polesia Galicja jest nie tylko godna pożałowania - Galicja jest postmodernistyczna. Ale ja mam inny punkt widzenia. Ściślej mówiąc, nie mam go, gdyż przebywam tu, w środku, to jest moje terytorium, mój podejrzewany i znieważany świat, otaczające go mury forteczne już dawno zostały obalone, fosy zasypano historycznym chlaniem i kulturalnym śmieciem, jakąś rozbitą porcelaną, czarną ceramiką hawareczyńską<sup>4</sup>, huculskimi kaflami; moja linia obronna - to ja sam, lecz nie mam innego wyjścia oprócz obrony tego kawałka, tych skrawków ziemi, które rozlążą się we wszystkie strony.

---

<sup>3</sup> Anatolij Onoprijenko — seryjny morderca, który w latach 90. zamordował kilkadziesiąt osób. Z Polesia przez Wołyń przesuwał się w kierunku Galicji. W 1998 r. został w końcu złapany. Podczas śledztwa stanowczo twierdził, że jest całkowicie zdrowy psychicznie, i żądał dla siebie kary śmierci. W związku ze zniesieniem na Ukrainie kary śmierci został skazany na dożywotnie więzienie (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Unikalny na Ukrainie rodzaj czarnej ceramiki, odkrytej we wsi Hawareczczyna (obwód lwowski). Była to wielka kulturalna sensacja drugiej połowy lat 80. Dla mnie jest w pewien sposób symboliczna, ponieważ popularyzacja tego fenomenu stanowiła jedną z pierwszych publicznych akcji studenckich ruchów niepodległościowych w czasach Gorbaczowa i pierestrojki. (przyp. autora).

Rozłąą się, ale pragnę je zebrać w jedną całość, zszyć - niechby to były nawet grube nici moich własnych wersji i domysłów. W tym miejscu potrzebuję jeszcze jednej terytorialnej efemerydy, takiej sobie geograficznej fatamorgany, rzeczywistości równoległej, modnej jeszcze wczoraj, a dziś już prawie wyrzyganej na intelektualnych przyjęciach: Europy Środkowej. Nie, nie Europy jako takiej, nie jej zmięch, lecz środka, ściślej mówiąc - wschodu, ponieważ wschód Europy, paradoksalnie, znajduje się tam, gdzie znajduje się jej centrum. Europa Środkowa - dziecko Kundery, Miłosza i Konrada - to dziwna substancja złożona z samych tylko idei, uczuć, mistyfikacji, amerykański wymysł kilku rozczarowanych dysydentów. Stoimy w obliczu jej ostatecznego zniknięcia, niech tylko Polaków ze Słowako-Węgrami przyjmą do NATO, a potem do Zachodu, do „właściwej Europy“, natomiast Ukrainę do odnowionej federacji słowiańskiej; niech tylko szczękną zamki na zachodnich granicach naszej drugiej co do znaczenia republiki związkowej, niech tylko przybędzie na posterunki, kolejny raz wzmocnione, stara kadra straży granicznej z młodymi ambitnymi owczarkami bez kagańców.

Otóż nie ma jej, tej Europy Środkowej, mówiąc dokładniej, prawie jej nie ma, tak samo jak prawie nie ma w niej Galicji. A wszystko, co jest - owo „prawie“ - tworzy niepodzielne terytorium postmodernizmu. Zdaje się, że chyba zupełnie nie odnosi się do Lyotarda, Derri-dy czy Saïda, a może właśnie ich dotyczy, ale nie o to mi chodzi.

Chodzi mi o to, że właśnie tu, na tym terytorium, dostrzegam pewne oznaki tego, co sam uważam za „post--modernistyczne“, to znaczy przede wszystkim „po-mo-dermistyczne“, czyli coś, co przyszło po modernizmie z jego zasadniczym pragnieniem nowoczesności, nowości jako odpowiednika czasu, pragnieniem, które zresztą brutalnie zostało przerwane z zewnątrz przez krew, popiół i wojny światowe, a także przez dyktatury, obozy koncentracyjne oraz czystki etniczne na ogromną skalę - takim sposobem w tej części świata został zatrzymany i wycięty w pień wszelki modernizm: klasyczny wiedeński, praski, krakowski, lwowski, drohobycki, nastąpiła z kolei po-modernistyczna pustka, wielkie wyczerpanie z nieskończenie otwartym potencjałem, ogromna, wiele obiecująca pustka.

Ów „post-modernizm“ rozumiem także jako niedokończony, ale już odczuwany post-totalitaryzm. Rozumiem to również jako permanentne neototalitarne zagrożenie, amebę, która swą substancją może wypełnić każdego w przestrzeni i całą tę przestrzeń razem. Historycznie modernizm kształtował się równocześnie z totalitarnymi systemami politycznymi, niejednym z jego czarnych kwadratów okazał się wcieloną pokusą „nowego człowieka“. Postmodernizm następuje po totalitaryzmie, jest amorficzny, chimeryczny, jest poczwara będącą odpowiednikiem stanu dezorientacji, niweczy oś przeszłości, pozostawia za ledwie fragmenty pionu, świetlaną przeszłość dowcipnie zamienia na apokalipsę.

Istnieje jeszcze jeden wymiar „post-modernizmu“ w naszej części świata. Jest to aspekt wielokulturowości, o którym mówi się bardzo wiele, często i dorzecznie - tyle że w rzeczywistości owa wielokulturowość skupia się na przeszłości, ponieważ istniała wcześniej, natomiast w tej chwili jest po-wielokulturowością, dysponujemy za ledwie jej śladami, za ledwie odbitkami.

Mamy ruiny (zamków, świątyń, fabryk, mostów, obserwatoriów, najwięcej jest ruin cmentarzy, nic prostszego przecież jak przywłaszczyć sobie porzucone przez uciekinierów mieszkania - o cudze mogiły nikt wszak nie zadba). Mamy ruiny - są to znaki „nawarstwienia kultur“, a zarazem znaki „nawarstwienia antykultur“, wymuszone kolaże krajobrazów, prawdziwy postmodernizm, gra w cegiełki bytu, lecz to nie my jesteśmy graczami w tej grze.

Mamy cytaty - z wymarłych języków, pism, dialektów, spalonych rękopisów, fragmentów wierszy - fragmentów utraconej całości, ale to nie my zonglujemy tymi fragmentami. Mamy nadmiar mitologii. Albowiem w tej części świata mitologia kompensuje historię, przekazy rodzinne są tu ważniejsze i wiarygodniejsze niż podręczniki. Zresztą historia sama nie jest tu niczym więcej jak tylko rodzajem mitologii.

W końcu, rozumiem swoje „post-modernistyczne“ również jako prowincjonalność, marginalność w tym sensie, w jakim Europa Środkowa nigdy nie mogła i nie chciała być centrum (co jej nie przeszkadzało w ciągłym zapładnianiu centrów własną żywą spermą, w obalaniu systemów wartości, tworzeniu strumieni świadomości, ale w tej chwili nawet nie o tych parweniuszach mówię, nie o warholach i szagalach), przecież Europa Środkowa to ów „szczególny stan duszy, szczególna postawa wobec świata“, twierdzi mój przyjaciel Krzysztof Czyżewski. Ze swej strony odważę się dodać: jest to taka prowincja, gdzie każdy wie, że w rzeczywistości przebywa w samym centrum, gdyż centrum jest nigdzie i wszędzie jednocześnie, dlatego z poddaszy i z piwnic własnej pracowni może zupełnie spokojnie obserwować wszystko inne, łącznie z Nowym Jorkiem czy jakąś tam Moskwą. Oto ona - nieobecność jakichkolwiek osi, oto ludzka chaotyczność istnienia, nierozzerwalne „węzły połączeń“ pionu z poziomem i na odwrót.

To właśnie podoba mi się najbardziej.

Właściwie jest mi głęboko obojętne, jak to nazwać. Postmodernizm? Niech będzie. Ale w rzeczywistości chodzi

O coś innego.

Istnieje wezwanie życia, istnieje wezwanie śmierci,

I reaguję na nie jak mogę. Ciągnie mnie to w jedną, to w drugą stronę, coś się ze mną dzieje, obserwuję zmiany w sobie samym, ale ja sam, na szczęście, nie mogę tymi zmianami kierować. Co więcej - nie potrafię sobie z nimi radzić. Pozostaje mi pisanie. Pozostaje mi nadzieja, że moje pisanie jest adekwatne do moich reakcji - nie pragnę niczego więcej. W ostatecznym rozrachunku nie jest dla mnie zbyt ważne, jak się nazywa, kwalifikuje, klasyfikuje to, co mi z pisania wychodzi... nawet jeśli nic mi nie wychodzi.

Ale nigdy nie zgodzę się z twierdzeniem, że w tym świecie wszystko już było.

Zapewne właśnie ta cecha pozwala mi sądzić, że postmodernizm (dobrze, nazwijmy to tak!) jest tam, gdzie każdy z nas dziś się znajduje, że są to takie warunki miejsca i czasu, od których nie uciekniemy, terytorium „pomiędzy“ i „w środku“, nie-należąca-do-nikogo między-cywilizacyjna, ale też ponad-cywilizacyjna przestrzeń, centralna dziura w Europie, rów tektoniczny, zapadnia, utracony komentarz na temat Galicji, a właściwie Galicja jako taka, szczelina między tysiącletkami, śmieci wszystkich naszych śródmieść, nasza pamięć, nasza nadzieja, nasza samotność - pozostajesz sam na sam z poplątanymi fragmentami, wersami, słowami, z alkoholem, z gorączką, ze slangiem i surżykiem, ze wszystkimi językami świata, z jednym jedynym językiem, męczy cię miłość, nienawiść, żal, seks, jesteś wydany na pastwę wszystkich na świecie ludzkich chorób i snów, myślisz o śmierci, o czasie i chaosie, masz co najmniej dwa tysiące lat, i wciąż jeszcze nie napisałeś bodaj jednej porządnej książki.

Mówią ci: „to postmodernizm“, przytakujesz w odpowiedzi i po raz kolejny oddajesz się oczekiwaniu. Nie masz szczęścia: owo terytorium jest niezwykle delikatne i kruche, to sama rzeczywistość, ale to twoje terytorium.

(przełożyła Lidia Stefanowska)

**IMPERIUM I ŚMIERĆ**



Zrobiłem zaledwie dwadzieścia kroków w bok od przepelnionej wszystkim na świecie (ogniami, wystawami, ładnymi i różnymi kobietami, jedzeniem, piwem, dziećmi, psami, bezdomnymi muzykantami, cukrowymi watami) Kartnerstrasse. Przedemną był niespecjalnie rzucający się w oczy kościół kapucynów - i wątpię, czy kiedykolwiek wszedłbym do środka, gdybym nie wiedział, że ta właśnie, wyraziście uboga budowla wyraziście ubogiego zakonu trzy i pół wieku temu została wybrana. W niej właśnie, a dokładniej w jej podziemiach, od 1633 r. (datę wyczytałem później) chowano najjaśniejsze ciała monarchów z rodu Habsburgów...

Frau przy wejściu - według mnie typowa stara wiedeńska, obrończym Boga-Ojczyzny-Tradycji, sprzedawała bilety do królestwa umarłych. Naścienne apele do zwiedzających prosiły, by zachowywać ciszę, nie zakłócać wiecznego odpoczynku i nie wchodzić z małymi dziećmi. Dzieci rzeczywiście mogą nie zachować powagi, podobnie zresztą jak psy. Kilkanaście metrów korytarzem, potem na prawo i schodami w dół, a potem - „...chłodem i śmiercią powiało na mnie z tej ogromnej półmroczonej jamy“, mógłbym napisać, gdybym lubił przestarzałe gotyckie efekty.

Dziesięciu cesarzy, piętnaście cesarzowych i około setki ich najbliższych krewnych - arcyksiążąt, arcyksiężnych, arcyksiężniczek i arcyksiążątek - spoczywa w tych naprawdę zimnych i naprawdę półmrocznych komnatach. Nie wszyscy

Habsburgowie dotarli do domu na zakończenie ziemskiej podróży: kogoś zgilotynowano w Paryżu, komuś przestrelono pierś w Sarajewie. A jednak tu właśnie, w tych rozbrzmiewających echem, przestronnych podziemiach - nie w pałacach i nie w zamkach - znajduje się dziś „tutejsze“ epicentrum znakomitej, fatalnej, nieszczęsnej (jak wszystkie inne) dynastii.

Co było tam, wtedy, wcześniej, niegdyś? Polowali - z chartami albo sokołami, odprowadzali modły i urządzali bale, uczyły, ekspedycje wojskowe, parady, spisy ludności. Przyłączali ziemie, gromadzili kosztowności, obrazy, kolekcje afrykańskiej zwierzyny i curiosów w spirytusie. Spisywali prawa, chadzali do opery, wspierali Mozarta, utrzymywali Salieriego, narzucali wolę, wstępowali w związki międzydynastyczne, kontynuowali linię, łamali ją, naruszali czystość przez mezalianse i zdrady, mieszały błękitną krew z czerwoną, a nawet z czarną... Bo serca monarchów nie są ani trochę bardziej kamienne niż wszystkie inne. Miłość, seks, polityka, intrygi, szept - zbyt wiele wszystkiego musiało przez nie przejść.

Serca zresztą, zgodnie z ceremoniałem, były chowane oddzielnie. Po śmierci każdego członka dynastii najrzęczniejsi chirurdzy imperium rozcinali jego najjaśniejsze ciało i wydobywali z niego serce. Wkładano je do specjalnej srebrnej szkatuły i przenoszono na wieczne przechowanie do podziemi innego kościoła - augustianów. Pozostałe wnętrzności także oddzielano i w urnach przenoszono do podziemi katedry św. Stefana - żołądki, płuca, nerki... Do trumien Habsburgów kładziono całkowicie pustych i lekkich, gotowych do jakiegoś niepowstrzymanego tańca tamtego świata...

Grymas Śmierci, tej aż niesmacznie kościstej damy z cesarską koroną na czaszce, towarzyszył mi w żałobnych podziemiach - zobaczyłem ją na jednym z sarkofagów i już nie mogłem zapomnieć. Można by tu poznawać historię Austrii (daty, imiona, drzewa genealogiczne), historię sztuki (trumny barokowe, rokokowe, empire, biedermeier, trumny modernistyczne), historię pychy i marności, i marności nad marnościami. Historię starzenia i chorób, historię

powszechną śmierci. Można by także wyciągać wnioski o ulotności i tymczasowości, o równości wobec najważniejszego, najsmutniejszego. O czasie, pozaczasie i wieczności.

Ale nie zdołałem skupić się na tych ważnych sprawach - całkiem niedaleko, gdzieś w górze, pod niebem, kilkadziesiąt metrów ode mnie, płynęła przepelniona wszystkim na świecie (zapachami, spojrzeniami, gestami, flirtami, wybuchami) fantastyczna Kartnerstrasse, życie płynęło, takie jakie jest.

(przełożyła Katarzyna Kotyńska)

## **OD WYDAWCY**

Na zbiór Ostatnie terytorium... składają się eseje publikowane w „Gazecie Wyborczej“ i „Krasnogradzie“ oraz teksty po raz pierwszy prezentowane w języku polskim.

Część esejów pierwotnie ukazała się w ukraińskich pismach „Den“ i „Krytyka“, a niektóre zostały włączone do tomu eseistycznego Jurija Andruchowycza pt. Dezorijentacija na miscewosti. Sproby (Iwano-Frankiwnsk, 1999).